

WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom pięćdziesiąty ósmy.



SPRAWA KRYMINALNA

POWIASTKA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1885.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Июля 1885 года.



Dwa dni trwał wybór, a że Złomski wprawny był w urządzaniu podróży, pokierował wszystkiem bardzo umiejętnie — i prezes ani się opatrzył jak go w landarze posadzono. Zwierzchność duchowna nie czyniła najmniejszej trudności w daniu pozwolenia O. Serafinowi, który tabaki sobie zapas sprowadziwszy, gotów był do podróży.

Wyjechali jakoś w szczęśliwą godzinę i droga poszła lepiej niż się nawet kapitan mógł spodziewać. — Karczmy znaleźli poopalane, nigdzie gościnnych izb zajętych, koń żaden nie zakulał, w powozach nic się nie złamało, a pora — choć spóźniona była jesień — dziwnie piękna służyła i pogodna. Do Borków umyślnie nic znać nie dano, ażeby tem większe było zdziwienie i radość. Kapitan obradował że najlepiej będzie po cichuteńku zajechać w godzinie herbaty. Zakazał nawet woźnicy palić z bata i stępo mieli przed ganek zajeżdżać, tak ażeby ich dopiero w sali, gdy wejdą, p. Benigna zobaczyła.

Tego wieczora właśnie był na herbacie mniemany pan Żymiński. Bawiono się bardzo wesoło, rozmo-

wa była ożywiona niezmiernie, panna Leokadya śmiała się i szeptała z sąsiadem, ciocia Wychlińska przypatrywała się im z czułością, pani Pstrokońska pilnowała aby im nie przeszkadzano., gdy...

Woźnica pana prezesa wprawdzie miał najwyraźniejszy rozkaz od kapitana, aby z bata nie palił — lecz na popasie troszeczkę sobie podpił, fantazyą miał wielką, zamyslił się czy żał mu było nie popisać się przecie z wprawna ręką i na pierwszym moście wjeżdżając w podwórze, wystrzelił jak z pistoletu. Już go potem żadna siła ludzka powstrzymać nie mogła. Kapitan starał się pohamować, gdzie tam, od mostu do ganku ośm razy raz po razie pali co miał sił.

Towarzystwo siedzące przy herbacie niezwykle o tej porze hasłem zdumione, poczęło wołać:

— Ktoś jedzie! goście! kto to być może! Poruszyli się wszyscy. pan Żymiński chcąc pierwszy gospodyni przynieść wiadomość ktoby to był, wyrwał się na ganek. Szczęściem tu światła nie było jeszcze... o mroku poznał łatwo konie i dobrze sobie znajomą landarę z Murawca, usłyszał głos prezesa i osłupiał.

Na chwilę zupełnie co ma począć nie wiedział i prezes byłby go tak zastał wmurowanego w progu, gdyby ciocia Wychlińska, która wybiegła także i stała za rogiem, poznawszy również powóz i konie brata, chwyciła go za ramię mówiąc: — Uciekaj pan! uciekaj—prezes!

Bez czapki więc, jak stał, rzucił się pan Daniel w bok z ganku, skrył w bliskie zarośla, nieprzytomny przestał tu chwilę wyładowania i dopiero gdy towarzystwo całe przeszło wśród głośnych okrzyków do pokojów, on przez służącego dostawszy nakrycie na gło-

wę pobiegł do stajni do koni swoich i kazał co tchu pędzić do domu.

Leokadya zobaczywszy ojca, nie wiedząc co się stało z panem Danielem, przestraszona zemdląła, złożono to na poruszenie nadzwyczajne. Ciocia Wychlińska zaś przed siostrą wytłumaczyła pana Żymińskiego tem, iż w chwili gdy familia potrzebowała się sobą nacieszyć, nie chciał być natrętnym i odjechał.

Pan Daniel kazał pędzić do domu, jeszcze nie mogąc zebrać myśli i zdecydować, co mu uczynić wypada — jechał nieprzytomny, zbolący, upokorzony, w rozpaczę prawie. Według wszelkiego podobieństwa pobyt prezesa, któremu ruszyć się nie było łatwo, musiał się w Borkach przedłużyć; udawać przez ten czas chorego było niebezpiecznie, ktoś ze służby starego mógł go gdzie spotkać, zaledwie więc przybywszy do Rakowa, zawołać kazał ekonoma, powiedział mu iż pilny interes powołuje go do Warszawy, że tejże nocy jechać musi. Zdał mu gospodarstwo obiecując prędki powrót, zebrał papiery, napisał kartkę do pani Wychlińskiej, którą po drodze w austeryi Borków miał rzucić — i nade dniem już był na gościńcu prowadzącym do stolicy.

Wzruszenie jakiego doznał, przetracił niepewność jak się wszystko skończy, przejęły go tak mocno, że w kilka godzin uczuł dreszcze, gorączkę i chorobę nadchodzącą. Mniej go ona wszakże obchodziła niż nieszczęście, które go spotkało. — Gdy w jedną stronę śpieszy ku Warszawie pan Daniel, z przeciwnej Górnicki wiezie Małejkę w tryumfie, naradzając się z nim po drodze nad środkami, jakichby użyć należało dla zdemaskowania Tremme-

ra. — Gwałtowny i popędliwy Górnicki wprost chciał najechać na Raków, wywołać gospodarza i twarz w twarz postawić go z Małejką, któryby go po imieniu przywitał. Nad ten dowód nie potrzebował innego, samozwaństwo byłoby dowiedzionem. Małejko z temperamentu i obyczajn powolniejszy, rozważniejszy, mający upodobanie w łagodniejszych na pozór, a ostrzejszych w istocie formach, trochę urzędnik, więc ostrożny aby ani siebie ani stanowiska nie skompromitować — namyślał się. Przychodziło mu też na myśl i to, że człowiek przywiedziony do rozpacz, może się do gwałtownych a niebezpiecznych rzucić kroków. — Lękał się narazić siebie.

— Ale wszakże innego środka nie masz? wołał Górnicki.

— A to nie jest dobry — odpowiedział Małejko. Cóż tego że ja go poznam i będę miał jednego świadka w panu. Mnie może on zrobić warjatem. Zresztą najechać na dom i oddać się tak w ręce nieprzyjaciela — to mi się nie zdaje... nie zdaje mi się... mówił rejestrator. Trzeba się namysleć.

Rozmýslali tedy przez całą drogę, a nic nie mogli takiego znaleźć, na coby się zgodzili oba. Górnickiego, impetyka z natury, niecierpliwiły te deliberyacje. W ostatku Małejko wpadł na pomysł szczęśliwy.

— Wszakżeś mi pan mówił, że on tam u pani Pstrokońskiej, stry pana przezesa bywa często i że to dom pański, wsze ludzi pełen. Przecież choć pan tam się trochę z nią poróżniłeś, drzwi mu przed nosem nie zamkną. Łatwo się dowiedzieć kiedy on tam będzie, zawieś mnie do Borków, a ja go przy wszystkich zgromadzonych po imieniu i nazwisku przywitam...

Górnicki znalazł plan ten bardzo szczęśliwym i przyklasnął mu. Rozminęli się na gościńcu, wcale o tem nie wiedząc, z panem Danielem i dobili do małej nowej dzierżawki Górnickiego. Podróż pospieszna tak ich obn zmęczyła, iż najpilniejszą rzeczą było pójść do łóżek i wyspać się. Spali więc jak zabici godzin kilkanaście. Gdy się po tem wreszcie wyglodniali obudzili, zaczęto myśleć drugiego dnia o sprawie. Górnicki miał gorączkę... pchnął zaraz posłańca potajemnie do Rakowa. Ten powrócił na zdyszanym koniu, dając znać, że pan Żymiński wyjechał.

Górnicki wiedział to dobrze, iż mało gdzie bywał oprócz Borków. — Spytał posłańca—a dokąd? pewno do Borków.

— Pewnie że do Borków. odparł o niczem nie wiedzący poseł, bo on tam mało nie codzień bywa.

Wpadł tedy pan Symforyan, któremu było pilno, z oznajmieniem stanowczem rejestratowi, że delinkwent jest w Borkach.

— Ubieraj się waćpań — zakrzyknął — nie ma co zwlekać, ruszajmy...

Było to z południa — Małejko, choć mu w miarę jak się godzina stanowcza zbliżała. znacznie ochota do takiego awanturnika się odpadała, cofnąć się już nie mógł—trzeba było zaczętego dokończyć.

— Kochany panie, rzekł, to dobrze — ja jadę, ale daj mi pan słowo, że nie odezwiesz się i nie poczniesz nic, póki ja nie ukłonię się mu pierwszy i po imieniu i nazwisku go nie wyzwę głośno...

Górnicki na wszystko się zgadzał.

Konie były gotowe, choć się Małejko trochę ociągał — koniec końców musiał sięść, pojechali.—Ka-

zał pan Symforyan spieszyć i polecieł wyciągniętym kłusem. Nie było więcej nad milę złej drogi, którą przebyto w pięć kwadransów...

Obiadowano zwykle o drugiej godzinie w Bor-kach, a stół ciągnął się do trzeciej. Towarzystwo potem całe piło kawę w salonie, i każdy się udawał gdzie mu się podobało... O godzinie siódmej schodzo-no się na herbatę. Gdy bryczka wioząca Górnickiego z jego towarzyszem zaszła przed ganek, pani Pstro-końska. prezes, Leokadya. ciocia Wychlińska, w ma-lem kółku siedzieli w gabinecie pani domu.

Po ostatnich odwiedzinach Górnickiego unikając nieprzyjemności, pani Balbina Sochaczewskiemu zale-ciła, ażeby na wypadek przybycia tego niemiłego są-siada, pozbył się go zręcznie i uchronił ją od spotka-nia z tym człowiekiem. Sochaczewski stał właśnie przed oficyną z fajeczką, gdy pan Symforyan zajeź-dzał, i zobaczywszy go rzucił się co miał sił do gan-ku. Nim goście przybyli mieli czas wysiąść, stary jnż u drzwi głównych znalazł się na warcie...

Górnicki po swojemu zamaszysto się pakował do sieni, gdy Sochaczewski sobą mu wnijsie tamując po-czął się kłócić i witać go.

— Jesteś tu?

— A jak! — tak — zająknął się żywo wyrwaw-szy Sochaczewski. ale chora i nikogo a nikogo nie przyjmuję.

Górnicki zakąsił patrząc na towarzysza.

— Cóż to! młaska dla mnie? zapytał.

— Nie dla pana, ale... nie przyjmuje nikogo.

Sochaczewski nie ustępował ode drzwi.

— Ale pana Żymińskiego to przyjmie, rozśmiał się Górnicki złośliwie, boć on tu jest! he?

Sochaczewski minę zrobił zdziwioną.

— Nie ma go, rzekł, na to panu słowo honoru daję, że go nie ma.

— Słowo honoru? stary wojskowy—? przerwał niedowierzająco Górnicki i nieco szydersko.

— Tak! mospanie! kręcąc wąsa dodał Sochaczewski... słowo starego wojskowego... rozumiesz pan?

— A gdzież u diabła ten ptaszek się chowa, jeśli go tu nie ma.

Przybyli spojrzeli po sobie.

Małejko dawał znaki niecierpliwe, aby nie obudzać zbytnio uwagi i tymczasem ustąpić. Górnickiemu było to nie na rękę; nie lubił odjeżdżać z długim nosem.

— Ha! zawołał, tak to już Borki widzę nie łaskawe na Górnickich—trudno, jużci gwałtem się nie wcisnę, kiedy mi drzwi sobą zastawiacie.

— Pani chora i nikogo nie przyjmuje—lakonicznie powtórzył Sochaczewski...

— Ja myślę, że dla mnie będzie zawsze u tych drzwi jakaś przeszkoda co mi ich przestąpić nie da! zawołał bntnie. A no! mniejsza o to! znać ja drogę, którą choć sam nie wejść, to się mieszkając w pałacu dam we znaki. Ja człowieczek mały jak mucha mała też a kasa... Gorszym od mnie jestem... znajdę i ja czem dogryść... Bywaj... Sochaczewski. Możesz to swojej pani powieść—!

Całej tej sceny nazbyt głośno odegrywającej się w gauku. liczna służba zbiegająca się ciekawie była słuchaczem i świadkiem... A że gospodynι także

w domu o wszystkim wiedzieć pragnęła i siedząc w gabinecie. od którego okno wychodziło ku gankowi, posłyszała jakiś spór—wyjrzała zaraz — i poznała Górnickiego—zrozumiała o co chodziło.

Odprawiony cofał się ku bryczce, miotając na was i mruczając. Małejko milczący, który tu smutną bardzo grał rolę, nadto był przejęty duchem swojego powołania, ażeby z chwili tej choć oczyma nie skorzystał. Rozglądał się więc po dziedzińcu i ludziach...

Jakież było jego zdumienie, gdy tu zobaczył bardzo mu dobrze znanych ludzi dworskich prezesa z Murawca. W mgnieniu oka pojął, że przytomność ich tutaj już oznacza, że owego pana Daniela wymarzonego przezeń znaleźć tu nie mógł—boby go ci ludzie poznali.

Bardzo go to zmieszało i zaniepokoiło o cały wywód sprawy—zważył o własnym rozumie.

Gdy bryczka odtoczyła się od ganku i przeszła most zamykający dziedziniec—Małejko ponuro, z oczyma w ziemię wlepionemi siedzący na bryce, trącił sąsiada ostrym łokciem.

— Coś tu innego się święci — zawołał głosem stłumionym. Kat że ich zrozumie. Nie może być, żeby ludzi tylu było w spisku... a dwór pełen sług z Murawca, z naszej okolicy, toćby go poznali... Tu go więc być nie może.

— A zkądże się tu ci ludzie wzięli?

— Musieli z panną przyjechać, rzekł pisarz, który się przybycia prezesa domyslać nie mógł.—Już nic nie rozumiem...

— Ale jakże ja mogłem się omylić?

Górnicki samą wątpliwością przybity nie mógł pohamować gniewu.

— A! niechże to wszyscy porwą szatani! krzyknał... Co waćpan bredzisz! co?

— Czy może pan nie rozumiesz — odparł spokojnie pisarz, czy zrozumieć nie chcesz... Człowiek najrozumniejszy omylić się może... koń na czterech nogach chodzi a potknie się... Pan Daniel tu być nie może i nie mógł, bo tu widzę pełno ludzi z Murawca od prezesa. Toćby go jednej chwili poznali i sekretby się nie utrzymał, a przecie do tajemnicy takiej i furmanów i lokajów się nie przypuszcza... W tem jest jakiś djabeł, którego ja—nie rozumiem.

— Ale asanu się ci ludzie chyba przewidzieć musieli! klnąc zawołał Górnicki. Gdzie? co? jak? zkądby się wzięli?

— Przyjechać musieli z panną...

— A więc...

— Więc wszystko co ja tak mądrze odgadł... kat wziął! bijąc pięścią po kolanach—odparł Małejko... ale przyznasz mi pan, że prawdopodobieństwo było jak największe...

— Prawda nie prawdopodobieństwo! co to gadać! przerwał Górnicki—ja od tego nie odstąpię...

Smutnie rozśmiał się pisarz. — On do rozpacz był przyprowadzony — tak ślicznie osnute śledztwo, tak odgadnięta tajemnica... rozbijała się marnie o dwie czy trzy spotkane twarze, przeciwko niej świadczące. — Małejko nadto miał rozsądku, aby się upierał przy tem co się stawało niemożliwe—ale bolał tak, że mu się płakać chciało, nad wyslizgującą mu się z rąk nadzieją odznaczenia...

— Widziałem! widziałem tu ludzi na moje własne oczy... Cóż tu począć przeciwko oczewistości — wołał zafrasowany. Więc mi się ubrdało nie wiedzieć co... i darmo tyle drogi i tyle czasu—i taki wstyd!!

Górnicki miał srogi żal do niego, on do niego nie mniejszy. Po kilku urywanych wykrzyknikach. po-odwracali się od siebie i milczeli... nie wiele brakło do kłótni, choć rejestrator do niej skłonności nie miał, zwłaszcza w obcej stronie i na wózku tego, do którego srogi miał żal.

Za mostem zajadły pan Symforyan, myśląc tylko o nieprzyjacielu, nie pytając już Małejki o zdrowie, gniewny, swoją głowę kazał jechać.

— Do Rakowa! Nie ma go tam, to musi być w domu! Gdzieś go przecie odkopie my.

Konie zwróciły się na rozkaz znaną im drogą do dawnej dzierżawy pana Górnickiego. Podróżni milczeli, Małejko z biedy i strapienia skurczył się, zwinął w kłębek, zmalał, zgarbił tak, że ledwie go widać było... Górnicki przeciwnie porozrzucał odzież, nogi i ręce, jakby ochłody szukał.

Tak dobili się o zmroku do karczmy w Rakowie, tu miał Górnicki dobrze znajomego. choć nie zbyt sobie przyjaznego arendarza — wprzód więc nimby do dworu zajechali, postanowił się rozpytać u niego o dzierżawcę

— Stój! zawołał—niech Matija mi wywoła Borucha.

Matija poleciał, ale Boruch jakoś się na rozkaz nie spieszył. Teraz już dawny pan nie miał tu żadnego wpływu i władzy. Po dosyć długiem wyczekiwaniu ukazał się wreszcie, skłonił z lekka, ręki nie wyjmując z kieszeni i zdala stojąc z fajki pykał.

— Mój Boruch, proszę cię — zawołał Górnicki —
gdzież wasz ten przybłęda? w domu?

— Kto? kto? zapytał żyd zimno.

— No—do stu—dzierżawca.

Arendarz ramionami ruszył.

— Nie ma go w domu.

— A dokądże wyjechał?

— Dokąd? powtórzył Boruch—on się przecież mnie
nie potrzebował meldować. Wyjechał — to wyjechał.
Mnie co do tego: a chce pan może wiedzieć jak wyje-
chał? Cztery konie, bryka na resorach, furman i lo-
kaj—i pojechali gościńcem... ot... tam...

Wskazał ręką ku Warszawie, skłonił się znowu
od niechcenia i poprawiając fajkę, ponieważ zaczynało
coś kropić, wszedł nazad do gospody.

Górnicki z towarzyszem popatrzyli sobie w oczy.
Pan Symforyan począł kląć... uderzył woźnicę
w kark.

— Do domu! krzyknął—przecież się jakaś na to ra-
da znaleźć musi.

Rejestrator znowu się skulił, przełamał i milczą-
cy dawał już z sobą robić co się podobało.

Nazajutrz po przebytej nocy na medytacjach i przeklinaniu, Małejko wstał żółty jak cytryna, Górnicki blady jak ściana, napili się kawy z rumem i rumu bez kawy i zaczęli chodzić po izbie, jeden w prawo, drugi w lewo nic nie mówiąc do siebie. Jednego pragnienie zemsty piekło, drugiego upokorzenie. że się tak haniebnie omylił.

Ale oczy go przecież nie uwiódł — widział ludzi z Murawca.

Im więcej myślał, tem mocniej się utwierdzał w tem przekonaniu, że tak grubo chybić — nie powinien był człowiek z jego przenikliwością — coś mu w tem było ciemnem, niezrozumiałem.

Pan Górnicki już przeklinał człowieka, który go uwiódł i w głowie szukał lepszych zemsty sposobów, gdy mu tak wysmienity się wymykał. Wśród tych rozmyślań, po śniadaniu jakoś Małejko się wymknął milczący z izby i znikł.

Zrazu nie uważał na to gospodarz, ale gdy go z godzinę jaką nie było, poszedł szukać. W gościnnym pokoju nie znalazł go; na zapytanie ludzie odpowiedzieli, że poszedł — do karczmy.

Ruszył więc ramionami i nie myślał o nim.

Tymczasem pora obiadowa nadeszła, Małejki nie było. Posłano do karczmy, arendarz odpowiedział, że furę sobie najął i pojechał, rozkazawszy tylko dać znać do dworu, że na noc powróci.

Dokąd mógł się wymknąć wśród nieznanej okolicy, nie domyślał się zrazu p. Symforyan. ale znając już trochę człowieka. wiedział, że nie darmo będzie sznurkował. Cekał więc cierpliwie, obiad sam zjadł i na sofie się zdrzemnął.

Pisarz wyjechał, jak łatwo odgadnąć, do Borków. Nie udał się do dworu. gdyż tam nie miał sposobu ani pozoru się wcisnąć—skierował się do karczmy. Znając swoich Wołyniaków pewien był, że ich tam jeśli nie znajdzie, to się przynajmniej doczeka.

Z okiem bacznie na dwór zwróconem zasiadł na przesmyku.

Około południa ode dworu przyciągnął jakby na zawołanie stary stangret prezesa Hrehor. Był to dawny sługa jegomości, woźnica jakich mało, ale opój taki. że w podróży potrzebował nianki i na pięć minut tylko z oka spuszczonego spijał się tak, że nocować często było potrzeba na popasie. Hrehora znał Małejko z tego. że parę razy w śledztwach o karczemne bitki był pozywany do sądu, a raz nawet siedział miesiąc w turmie. którą żartobliwie nazywał akademią—człowiek już był podżyły. olbrzymiej postawy. zdrów i silny, choć pięćdziesiąt lat miał przeszło.

Widząc go przybywającego pisarz usiadł tak ażeby go koniecznie musiał zobaczyć.

W istocie Hrehor wchodząc do izby, poznał go zaraz. zawachał się chwilę i do czapki rękę przyłożył znowu nie pewny siebie—potrzymał ją tak chwilę, aż zdjął i pozdrowił go zdumiony.

— A panoczek to co tu robi??

— Ja? al to wyl z Murawca? nie prawdaż?

— No tak! z Murawca, od prezesa—pan pamięta —
stangret Hrehor Śniatucha.

— O! ol bracie—rzekł pisarz—ja mam pamięć lepszą od ciebie.

Śniatucha śmiał się—na ten raz wolałby był może, ażeby nie koniecznie wszystko pamiętał.

— Cóż panoczek tu między tymi lachami robi—ty-le mil od domu?? spytał woźnica.

— Ja—ja tu jadę do—do krewnych—bąknął po namyśle Małejko—a wy?

— A my tu z panem przyjechali.

— Jak to? z panienką chyba?

— O! nie, kiedy już nasza panna tutaj, a prezes dopiero trzeci dzień jak przybył.

— Prezes tu jest? spytał Małejko obojętnie—proszę? I cóż to go tu tak daleko przypędziło?

— Hm? Czy to mnie pańskie myśli albo interesa wiedzieć? mruknął Śniatucha—gadają, że zanudził po córce.

— I na długo wy tutaj?

— Nie wiem, może i zimować będziemy; choć mnie po żonce tęskno—a no—pan każe—sługa musi.

Małejko kazał podać wódki, sam się jej nawet napił i rozpytywał dalej powoli, kiedy przybyli, z kim i t. p.

Śniatucha nie mógł tak bardzo dokładnie odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Trwała jednak rozmowa dobre pół godziny. Małejko się namyślał, ważył, czuprynę męczył, a gdy już Śniatucha miał odchodzić, odezwał się do niego.

— Ja tu nie długo zabawię—powracam na Wołyń, jakby stary pan może miał co do rozkazania, do domu...

albo co do zrobienia, albo jaki bądź interes, mógłbym go chętnie sprawić. Pół godziny tu będę w karczmie jeszcze odpoczywał... powiedzcie to panu, możeby się ze mną chciał zobaczyć, pogadać... i listy by dał do domu, zawsze to pewniejsze niż poczta.

Odprawiwszy Śniatuchę... Małejko zasiadł i czekał, był prawie pewnym, że go stary poprosi do siebie... Nie omylił się; w pół godziny nie spełna nadbiegł młody lokajczuk prezesa. wesoły junak, niedawno z dworskiego kozaczka w liberyą przebrany — Demko i szukając go oczyma po izbie—zawołał:

— A! jak się panisko ma! Oto dziwota? zkądże to pana przyniosło. Pan prezes kłania się bardzo i prosi na kwadrausik do siebie—ja przeprowadzę.

Wyszli tedy oba, Małejko dużo weselszy niż zrazu przybył — nabierał powoli otuchy. Pochlebilo mu to, że tak zręcznie znowu interes swój poprowadził — a szczególnie się cieszył ze zdobytej przypadkiem istnym wiadomości... Ludzie dworcy zebrani w karczmie nim się doczekał przybycia Hrehora Śniatuchy, opowiadali sobie o niespodzianem przybyciu prezesa... Jeden z nich opisując wrażenie, jakie to uczyniło we dworze, dodał od niechcienia, że Żymiński posesor z Raków, który był właśnie w Borkach, gdy prezes zajechał do dworu, wyniósł się nawet bez pożegnania zaraz, nie chcąc przeszkadzać. a panna Leokadya aż zemdląła.

Oprócz tego w karczmie Górnickiego najmując konie dowiedział się, że tejże nocy dzierzawca z Raków, niespodzianie wybrał się w drogę.

Byстрыm swoim umysłem skleiwszy te dwie wiadomości i wyciągając z nich wniosek, Małejko znowu

się utwierdził w przekonaniu, że się wcale nie omylił. Kto inny nie pan Daniel pocoby miał tak zniknąć i z dworu w Borkach i zaraz na całą noc z okolicy?

Uśmiechał się do siebie Małejko. Już mu o nie nie szło tylko o to, żeby się sam sobie bardzo głupim nie wydał.

— A no — chwala Bogu, rzekł w dnczu. Platonie Symforyanowiczu — jeszcze ciebie lada kto w kaszy nie zje! Dobrze ten zając płacze, ale bodaj chart nie będzie lepszy...

Aż mu biedakowi było rażniej...

Szedł do dworu pewien swego, radził tylko sam z sobą, czy czas przyszedł prezesowi wszystko wyjawić i przestrzedz go co się święciło, czy lepiej palca między drzwi nie kłaść.

Jakkolwiek głównym działaczem w całej tej sprawie dla pana rejestratora była chęć popisania się z przebiegłością swoją — nie mogło mu być obojętnem i to, że przecie prezes za wyjawienie takiej tajemnicy, powinien mu być wdzięczny, i wdzięczności swej dowieść czynem. I to coś znaczyło.

Nie przypuszczał na chwilę, ażeby się mógł omylić i darmo tylko rzucić popłoch i niepokój...

Wahał się wszakże — a dochodząc do drzwi pałacu, powiedział sobie, że rozum każe póty nie krzyczeć, dopóki się złodzieja za kark nie złapie.

— Toć zawsze czas i powiedział sobie, trzeba wprzód dojsć w jakiej on jamie siedzi...

Wprowadził go Demko do pokoju prezesa, który śmiejąc się przeciwko niemu szedł.

— Wszelki duch pana Boga chwalił zawołał pre-

zes—co ty tu robisz Małejko .. czy cię tu burza przyniosła...

— Ah! ah! kłaniając się nisko ozwał wesóły pisarz — istotnie burza. bo ja tu miałem siostrę... zechciał pan, interes familijny... Musiałem prosić o urlop i bić się po takich drogach... Ale powrócę prędko...

— Siadajże... jak ci się tu podoba?

Ruszył ramionami pisarz.

— Zechciał pan prezes — mnie aby co prędzej do domu...

— To tak jak mnie, kochanku, ja także do Murawca tęsknię, ale kawał drogi, kawał drogi.

— Że to się pan prezes mógł wybrać w taką porę?

— Hm! Jedna córka w świecie, nie ma złej drogi, do swej niebogi...

Małejko zmiłkł...

— Powiedźże mi, toś ty chyba wyjechał po mnie? zapytał stary.

— Może to być—umyślnie kłamał pisarz...

— Cóż tam słyhać było?

— U nas?? u nas w kancelaryi to do tej pory jeszcze orygowiecką sprawę gryziemy i zębyśmy sobie na niej połamali, a nie możemy jej zgryźć.

Prezes pochmurniał nagle, ręką o fotel uderzył, zamyslił się.

— Biednego człeka żal; a jacy to z was policyanci, kiedyście nie mogli wyszukać winnych.

Małejko popatrzył w oczy prezesowi długo, ramionami ruszył i nic nie mówiąc całą miną dał do zrozumienia, że tam nie było czego szukać.

— Cóż ty o tem myślisz—dodał prezes.

— Niech się pan mnie nie pyta, bo może i ja głupio myślę, ale inaczej zupełnie jak drudzy...

— Naprzykład? spytał ciekawie stary. Małejko zmilczał długo, długo, niby męcząc się z sobą.

— To, rzekł w końcu — to sprawa tak poplątana, tak zamotana, że mi się w życiu nigdy podobnej spotkać nie trafiło. Miałem ja różnych wiele od czasu jak jestem w tej ntrapionej służbie, w której ciągle zagadki brudne i straszne odgadywać potrzeba—a no — coś podobnego jak ta... jakem żyw!

— Cóż w niej tak dziwnego znowu—począł prezes... żeście nie znaleźli ciała... Wy się temu dziwicie, a przecie to dowodzi tylko wielkiego rozumu zbrodniarzy, bo ze zwłok wiele rzeczy dojść można.

— To prawda — przerwał Małejko — niech się pan prezes nie śmieje ze mnie — jabym przysiągł, że tam żadnych zwłok nie było!

— Cóż to pleciesz! krzyknął stary — co ci się śni...

— Może i śnił być może! Śni się! at! mruczał pisarz—ja przy swoim stoję—tam zwłok nie było...

— A cóż się z nim stać mogło? zaprzeczył żywo prezes—człek majątny. stateczny... nie młody... nie poszlakowany o nic. zacny taki jakich nam daj Boże najwięcej... Przecież mu nic nie groziło?

Małejko rnszył ramionami.

— Nie chcę się panu przeciwstawić i sprzeciwiać. dodał — a no ja — może nie dało się o widząc, tak widzę...

Nastąpiło milczenie i Małejko, wyciwszy głowę zamyślił się głęboko, jakby o śmierci pisarza zupełnie zapomniął. M... że składał

i ważył okoliczności i sam z sobą się bił o wnio-
ski. Nie odezwał się jednak nic, znać było nawet, że
chciał może rozmowę odwrócić, bo popatrzawszy
na Małejkę rzekł.

— Możebyś ty tu chciał spocząć! jam tu jak w do-
mu? — każę ci dać izbę, to się sobie wygodnie wyśpisz,
najesz i wyleżysz.

Pisarz się skłonił i miał odpowiedzieć gdy drzwi
się otwarły i weszła ciocia Wychlińska z Leokadyą
co rozmowę przerwało... Małejko ustąpił nieco... na
bok, ale się jeszcze nie żegnał. Stał sobie skromnie
u okna i czekał.

Nie wiemy czyśmy mogli w poprzedzających roz-
działach. mówiąc o tym człowieku. dać jego charakte-
ru, głębsze pojęcie. Był to biedny człowiek. sierota.
dwadzieścia lat w ciężkiej służbie. na świecie sam je-
den, spychany ciągle ile razy na wyższy stopień nogę
wyciągnął. Nigdy jednak z krzywdą ludzką dobić
się niczego nie pragnął, bo był w swem pojęciu czło-
wieka chrześcijańskiego aż do przesady surowym.
Młodość spędził czytając przypadkiem ojców kościoła,
później w chwilach wolnych. moralistów. — i jakkol-
wiek się to może wydać dziwnem, pełniąc służbę, któ-
ra go narażała ciągle na mnogie pokusy. pragnąc się
niezmiernie odznaczyć, nie przekroczył nigdy granicy,
jaką mu sumienie naznaczyło. Nieraz z samym sobą
walczyć musiał, ale wygrał zwycięzko. Ale tam za
to, gdzie się mógł uwolnić — jeśli nie rękę, to choć
piąty palec sprawiedliwości — tam gdzie trzeba było
ścigać występki — już sobie pozwalał najdrapie-
niejszych

W sprawie Orygowieckiej nigdy mu na myśl nie przyszło dotąd, żeby prześladowaniem człowieka miał grzeszyć; zdało mu się, że odkrywał oszustwo i tem się samem uniewinniał przed sobą, bo mu bardzo było potrzeba pokazać spryt swój, z którego się czasem śmiano.

W chwili gdy panna Leokadya weszła z ciotką, jeszcze motał sobie dalsze plany, — ale — spojrzał na twarz wybladłą, smutną, pełną bóleści córki prezesa i — myśli mu się pomieśzały.

W istocie, nawet człowieka coby historyi tej nie znał, uderzyć musiała twarz i postawa prezesówniej.

Był to wyraz bóleści niewypowiedzianej, tać się z sobą zmuszonej, a wytryskującej mimo woli męczeńnicy przez wszystkie rysy i ruchy. — Oko jej błędne chodziło po przedmiotach, to nie widząc ich, to przestraszać się niemi, jakby widma spotykało. Usta zdawały się powstrzymywać krzyk wyrywający się z głębi łona, czoło fałdowało cierpienie. Szła i zdawała się lękać stąpić kroku, by na nowe jakieś nie wpaść sidła. Chwiała się idąc; ręce jej konwulsyjnie chwytaly suknię, mięły chustkę, zdawały chwilami chcieć coś pochwycić w powietrzu lub odepchnąć. Niezmierna tylko siła woli trzymała ją i poruszała. Bładość lica, zwiedłe usta, drzenie powiek i mięśni zdradzały razem fizyczne i moralne cierpienie. Oczy nawykłe widzieć ją co dnia, stopniami oswoić się z nią mogły, aż do zobojętnienia na ten wizerunek męczeństwa znoszonego z uśmiechem — lecz nowy przybysz jak Małejko uderzony być musiał tem mocniej wido-

kiem Leokadyi. że znał przyczyny jej tajonego cierpienia.

Nagle ścisnęło mu się serce, poczuł się jakby winnym, zbrodniarzem, katem i przestraszył się w sumieniu. że mógłby na niem dźwigać wspomnienie tego okrutnego znękania, przyłożywszy się do niego. Zbladł, zrobiło mu się zimno i mimo dreszczu poczuł występujące poty. Nie był to wcale człowiek sentymentalny, wiele bied ludzkich zimnem oglądał okiem, a ta go przeraziła.

W duszy podziękował Bogu, że jeszcze sobie nie miał do wyrzucenia i że to co zrobił — jeśli było złem, mogło się jeszcze naprawić. — Widocznem było po pannie Leokadyi, że się wysilała na to, ażeby ojciec nie mógł się stanu jej duszy domyśleć — zmuszała się do uśmiechu straszniejszego niż łzy, które niewidome kręciły się pod powiekami, prostowała się, aby nie pokazać złamaną; była bezprzytomną, a chciała wydawać roztargnioną.

Wszystko to Małejko przeczytał jak z książki i oblał się wstydem i oburzeniem nad sobą samym. Sumienie mówiło mu: Co ci winien ten człowiek? dla czego chcesz mu jedyne szczęście odebrać i potępić go i wydać na pastwę? Wszakże nie zawinił przeciwko nikomu? wszakże dla ludzi czystym jest? Co ci winni tych dwoje nieszczęśliwych?

Stało się w jednej chwili, w mgnieniu oka, błyskawicą przebiegały myśli przez głowę biednego pisarza, który się sam siebie wstydził. ręce ścisnął i oczy spuścił.

Leokadya szła tymczasem do ojca, który zapo-

mniawszy o Małejce, niespokojnie się w córkę wpatrywał..

— A już wy mi mówicie co chcecie — zawołał w końcu — że wam tu tak dobrze i żeście odżyły, kiedy Leokadya wygląda jak z krzyża zdjęta a Wychlińska też nie lepiej! Już jak było tak było w Murawcu, ale że nie gorzej wam z oczów patrzało. to pewno.

— Ona dziś trochę nie zdrowa — szepnęła ciotka.

— A wczoraj było tak samo — przerwał prezes — poza wczoraj też pewno nie inaczej.

Kobiety zobaczywszy obcego, którego przywitały z daleka, odwróciły prędko rozmowę. Małejko stał milczący, ciągle się łając po cichu. Prezes zwrócił się ku niemu, aby go z nieprzyjemnego położenia wybawić.

— Chcesz zostać tu i spocząć? zapytał.

Małejko się skłonił.

— No — dziś, nie — ale jeśli pan prezes pozwoli, ja tu jeszcze po rozkazy się stawię.

To mówiąc pochwycił za czapkę i co prędzej się wymknął nazad do gospody — okrutnie zły na siebie i na swą niewczesną gorliwość, która mu się już teraz na nic przydać nie mogła, bo ją potępiło sumienie.

Prezes został z ciotką i Wychlińską, ale Leokadya wkrótce unikając przenikliwych oczów ojca wymknęła się do ciotki Benigny, prezes tylko Wychlińską, dając jej znak aby została — zatrzymał.

Jakiś czas zadumany nie mówił nic.

— A wiesz asińdzka — odezwał się w końcu — nie chciałem tego mówić przy Leokadyi, żeby jej smutnych myśli nie dodawać, bo ona tak i tego Daniela podobno dosyć lubiła... co mi za klina w głowę zabił

ten o to... ten... co tu był... ten pisarzyna od Zdenowicza.

Ciocia Wychlińska pobladła.

— To mądra główka, choć niepozorny człeczek — mówił prezes. — Wystaw-że sobie, upiera się przytem że — że...

Nie domówił i głowę potrząsł — odwrócił się do Wychlińskiej. — Wiesz co? że Daniel — żyje...

Ciocia krzyknęła, ręce załamała i porwała się drżąc z krzesła.

— On to mówił!

— Nie przestraszajże się... plótk — dodał prezes, sensu pono w tem nie ma, ale kiedy to mówi człowiek, który sam śledztwo prowadził — bo wiadomo, że Zdenowicz do tego niezdatny — człowiek, który zna wszystkie szczegóły i którego powołaniem jest prawdy się doszukiwać — to mnie zastanawia — to mi do myślenia daje.

— Z drugiej strony — ciągnął prezes, — jakizby miał być powód takiego zagadkowego postępowania? Co za cel? w głowę zachodzę i nie rozumiem.

Prezes głowę trząsł, dumał, czmychał, a ciocia Wychlińska siedziała jak na mękach, nie śmiała się odezwać.

— Kombinuję, kombinuję, mruczał stary i muszę przypuścić, że chyba w życiu tego człowieka były sprężyny dla mnie ukryte i nieznane. Ale Daniel znowu nie miał takiego charakteru zamkniętego, uczciwym był i otwartym. Cóżby to mogło być?

Gdy prezes tak kombinował, ciocia szukała niecierpliwie w myśli pozoru jakiegoś ażeby odwrócić rozmowę.

Nagle po pauzie, stary pochylił się do siostry.

— Moja Wychlińsiu — szepnął — ty ją najlepiej znasz — co Leokadyi jest? co to może być? Czy to choroba. którą leczą doktorowie — czy... Ruszył ramionami, bo mnie tego dzieciaka żal. życiebym za nie dał — a ona w oczach nam ginie, błednieje, mizernieje, przepada.

Wychlińska długo się zdawała walczyć z sobą.

— Mój bracie — odezwała się smutnie i nie śmiało — mogeż ja odgadnąć co się w jej sercu dzieje. Może być że moje myśli są trochę żywe, lecz ty sam to uznasz, iż od tego o niesamowitym wypadku w Orygowcach pociesz się zdrowo. Leokadyi psuć, posmutniała, zmienia się humor. — ja się dawno domyślam, ledwieby nie przypomniała że ona w istocie, jak to sam mówiłeś nieraz. miała do pana Daniela słabość, nie wydawała się z nią, tała. bo wiedziała o niezłomnej woli twojej.

— Miałaby to być taka szalona miłość? zawołał prezes...

— Mogłaby być — a tajona, kochany bracie — zabija...

Staruszek rękami uderzył po kolanach.

— Sto razy powtórzyłeś, że nie wydałbyś jej za niego. —

— A no — i dziś to powiem! nie wydałbym! Powiedz sama, niemiałżem słuszności!

Ciocia zmkła.

— Czyż się podobne wypadki w innych rodzinach nie trafiały? zapytała ciotka.

Prezes głową potrząsł.

— Sam winienem. to prawda, dodał po cichu, jeśli tam ta nieszczęśliwa miłość rozbijała. bom głupi pozwoił mu jeździć. spoufalić się. nawykliśmy do niego wszyscy. Ale Benigna mi wczoraj przecie mówiła, że Leokadya była dużo weselszą i okazywała dosyć przychylności dla tego tu... dzierżawcy jakiegoś. którego ona bardzo chwali... jakże się zowie?

Więc gdyby tak tęskniła po tamtym. toćby się tym znówu tak rychło nie zajęła?

Wychlińska zarumieniła się. ruszyła ramionami — nie odpowiedziała już na to pytanie.

— Mój bracie. rzekła do niego — daj mi pokój tej rozmowie. — Mojem wyobrażeniu chybiło o tem wielce, żeś się zaciął tak bardzo przeciw temu Tremmerowi. Zdaje mi się. jak tobie, że Leokadya istotnie szacowała go wielce, że się jej podobał. że z nim byłaby szczęśliwą. Usłyszała z twoich ust wyrok. nie chciała mu się sprzeciwiać. ale uwiędło biedactwo...

— I na mojem sumieniu wszystko, przerwał stary — toś mi przyjemną rzecz powiedziała? Ale — cóżes ty chciała, żeby Boromińska szła za jakiego Tremmera i to jeszcze protestanta...?

— Ja nie mówię nic — ty wiesz co robisz... nie sprzeciwiałam ci się przecie? szepnęła Wychlińska... sam się rachuj z sumieniem...

Prezes zachmurzył się. — Teraz po czasie, dobrze wam składać na mnie — mruzczał — jam tu z was wszystkich najbiedniejszy... bo mi dziecko ginie...

Załamiał ręce.

— Przecież — żwawo, dołożyła Wychlińska. gdyby rzeczywiście Daniel żył i wrócił. zrobiłbyś to samo co przedtem...

— Przepraszam asińdzkę — gwałtownie dorzucił prezes — nie byłbym tak głupi! a! nie! zamknąłbym drzwi przed nosem i — ani bym się pokazać mu na próg pozwolił.

Gdy tych słów domawiał, wtoczyła się ciocia Pstrokońska.

— Cożes tu miał za gościa? zapytała, bo miała zwyczaj wiedzieć o wszystkim, co się w domu działo. Kto to był piechotą u ciebie.

— A! to z naszych stron biedne człecze — rzekł prezes. — Coś go tu przygnało w Sandomierskie, chciałem go, ufając w łaskę pani siostry dobrodziejki zatrzymać nawet, żeby sobie spoczął, lecz mi się wy-mknął.

— Czemużes go nie ugościł?

— Zdaje się, że powróci... rzekł prezes... będę mógł przez niego dać dyspozycję Murawca, względem młócenia pszenicy... Ale... człek ćwieka zabił.

— Cóż takiego!

— E! to tam nasze sprawy! Asińdzki to pono nie obchodzi..

To mówiąc wstał prezes by podać rękę gospodyni do salonu...

— Ale coś Leokadya mi znowu dziś nie domaga.

— I ja to uważałam — rzekła Pstrokońska... dziecko usycha... trzeba mu innego życia, rozrywki, domu... męża...

— Przecież nic przeciwko temu nie mam. byle bez kalectwa.

— Ten, którego ja mam na myśli, rzekła Benigna, oprócz majątku, bo tego pewnie wiele nie ma — z in-

nych względów podobałby ci się — szkoda, że ci go zaprezentować nie mogę.

Mówią mi, że ktoś z jego bliskich krewnych zachorował i musiał jak najpilniej do Warszawy pojechać, ale spodziewam się powrócić. Leokadya przy nim była mi odżyła...

— A to, dawajże go asińdzka? wszak szlachcic i katolik?

— Tak mi się zdaje... dodała Pstrokońska.

— Bo bez tego nie — mówił stary prowadząc siostrę do pokojów — warunki są, sine qua non... Zresztą już nie wymagam więcej, tylko by się jej podobał. Wyznaj siostruniu, żeś dalipan nad innych ojców łagodniejszy w tym względzie.

Wejście do salonu, w którym zgromadzone było towarzystwo, przerywało koniec rozmowie — prezes umilkł, pani B. poszła do Leokadyi usiłując ją rozerwać — W. siadła z pończoszką w kątku, a pan Sochański po raz trzeci czy czwarty rozpoczął głośno opowiadanie o swoim spotkaniu w drzwiach z panem Górnickim.

Wbijało go to w dumę, że takiego zawadyki pozbyć się umiał, dla tego lubił powtarzać swoją z nim rozmowę i barwił ją a okraszał coraz nowemi dodatkami — panny Orzymowskie, zabawiające się przesładowaniem Sochaczewskiego łapały go na coraz nowych wersjach, co powszechną obudzało wesołość.

Małejko ponury i zamysłony powrócił do gospody, siadł na furkę i nie zważając na to, że najęty przez niego włókł się bardzo powoli, dojechał do pana Górnickiego, a raczej od ostatniej karczemki, pod dworem doszedł piechotą.

Gospodarza zastał drzemiącego — porwał się nadchodzącego słysząc i wybiegł naprzeciw niemn.

— Na Boga miłego. co się wam stało? — bałem się. żeby cię gdzie sandomierskie wilki nie zjadły! — Gdzieżeś był?

— At — chodziło się — rzekł markotno Małejko.

— Cały dzień? Przecież tu ani śledztwa żadnego nie masz. ani Faraona w sąsiedztwie.

— A, właśnie żem miał śledztwo — bąknął pi-sarz.

— Gdzie?

— Hm — aż w Borkach.

— I byłeś tam wać pan?

— Byłem. byłem — nawet we dworze. do którego pana nie wpuszczają i — pono trzeba powracać ze wstydem. bom się szpetnie omylił.

— Omyliłeś się? a niechże cię... krzyknął Górnicki — a niechże cię...

I kułakiem mu pogroził.

— Albom ja temu winien? odparł Małejko, panes mi tego blichtru na oczy nasypał. pan; — tyle czasu zmarnowanego i dla mnie ubogiego człeka.

Dokończył tak. że pochwycić nie było można — co mówił.

— Spodziewam się — dodał podnosząc głos — że mi choć do Warszawy jaką chłopską furę dacie. — ja tu już nie mam co robić.

Górnicki był zły.

— Tak! tak! a ja tom się z waszej łaski nie oszukał i nie spędził koni na darmo?

Górnicki zaczął po izbie chodzić szybko. Małejko zgarbił się, ręce złożył i milczący wzdychał, kłął

a czuprynę coraz pocierał tak, jakby z niej chciał powrywać włosy.

Dobre pół godziny nie mówili do siebie nic. — Zciemniało, przyniesiono świecę. Górnicki począł wzdychać, karty dobył ze stolika, siadł i parę razy taljã strzepnął. Małejko drgnął, odwrócił się, i jakby pokusa siły przechodziła, wstał zbliżając się do stołu. Nie mówiąc słowa do siebie siedli i w milczeniu na pociechę grać poczęli. Górnicki założył banczek, pisarz poniterował. Grali caluteńką noc, burcząc na siebie. Pospali się potem, jeden na kanapie, drugi przyczepkiem na łóżku i dobrze na dzień chrapali. Rano dopiero Małejkę do pomyślenia o sobie zmusił — począł się pakować do drogi

— Dasz mi pan furkę? spytał.

— Nie dam. — trzeba gnój wozić, nie takich fałszywych proroków jak wy, zaklinając się odparł Górnicki — idź piechotą.

— No. to choć do Borków

Symforyan i na to ramionami ruszył.

— Byłbym dał cztery konie, żebym tego cygana zdemaskował, ale tak!!

Małejko już nie prosił więcej.

— Dobrze ci tak — mówił do siebie — dobrze ci tak, palca między drzwi nie kładź. w cudze się sprawy nie płacz — losu za czuprynę nie łapaj, kiedy ci się tyłem obraca; cierp i milcz! Dobrze ci tak! A to ci się chciało koniecznie popisać! Dobrze ci tak!

I powtarzając ciągle — dobrze ci tak! gdy wszystko było gotowo. skłonił się Górnickiemu od progu.

— Bywaj pan zdrów.

— Z Panem Bogiem.

Rozstali się nie podawszy sobie rąk.

Górnicki był chmurny jak noc. Małejko zły, ale najwięcej siebie winił. Najpierw chłopaka, aby mu zaniósł tłumoczek do karczmy, a potem furkę najął do Borków i wprost się tam udał. W drodze przeodziawszy w gospodzie, a przekąsiwszy kieliszek jadłem, powlókł się do pana prezesa.

Słudzy, którzy go znali, wyprosili mu starego ze salonu do jego mieszkania.

— A co? już z powrotem? zapytał prezes.

— Ach! już, już, panie prezesie, i bardzo mi źle poszedł interes—odezwał się Małejko. Przyznam się panu, że nie mam o czem powracać! Żeby tak furka jaka szła ztąd do Murawca. przysiadłbym się choć na żydowskiej biedzie.

— A pilno ci bardzo? zapytał prezes.

— Dosyć, wszelako, dzień, dwa bym poczekał.

— No—to się coś może znajdzie, klepiąc go po ramieniu, rzekł stary. Tymczasem stancją ci dadzą—odpoczniesz i odjesz się trochę.

Wnet zadzwonił prezes na służę, któremu coś poszeptał, a Małejko kazał sięść. bo mu to z głowy nie mogło wyjść, co pierwszym razem nadmienił — o panu Danielu.

Chciał go tedy wziąć na spytki. Teraz wszakże Małejko ostrożniejszy daleko, nic z siebie dobyć nie dał, w śmiech obrócił swoje policyjne przypuszczenia i rozmowę zwrócił na inne przedmioty, bo mu o tem mówić dłużej było ciężko.

Tegoż dnia, gdy pisarz został umieszczony w oficynie, aż do wynalezienia mu okazji do Murawca któ-

ra wkrótce nadarzyć się miała, bo dwóch ludzi z końmi wracało. Późną już nocą ciocia Wychlińska znalazła siostrę Benignę w jej sypialni, dobrawszy chwilę gdy ta już do pacierzy się gładziła.

Pora była niezwykła, słyszała się więc gospodyni że i powód przyjsi... być ważny. To zresztą i z twarzy pocziwa... ińskiej odgadnąć było można, wyglądała bowiem goręcej jeszcze niż zwyczajnie i widocznie była poruszona.

Benigna pospieszyła na jej spotkanie.

— Co ci to jest? czyś nie zdrowa?

— Al i chora jestem i biedna—i tak nieszczęśliwa. Że już dłużej wytrwać nie mogę sama z sobą. Przyszłam do ciebie. mówiła Wychlińska głosem łez pełnym, uiemal przyklękając i ściskając siostrę za kolana. Przyszłam do ciebie ze spowiedzią, droga Benisiu—potępisz mnie może. wyłajesz... ale dłużej — wytrzymać nie umiem.

— Cóż ci jest! przestraszasz mnie... przerwała Pstrokońska.

Wychlińska rzuciła się na kanapkę i zakryła oczy a płakała.

Benigna usiadła przy niej milcząca i widocznie przełękała tak, że wedle zwyczaju, potajemnie się przeżegnała, dla nabrania siły i odpędzenia grożącego nieszczęścia...

Wychlińska spojrzała na drzwi.

— Bądź spokojną—nikt nas nie podsłucha—mów—rzekła gospodyni.

— O tem po troszę już wiesz — poczęła Wychlińska głosem drżącym, że w sąsiedztwie naszym na-

był Orygowce p. Daniel Tremmer, o tem ci już mówi-
łam...

Był to z pensyi jeszcze znajomy Leokadyi kawaler, który podobno dla tego tylko te Orygowce nabył, aby się zbliżyć do niej. Człowieka ci chwalić nie potrzebuje—później powiem dla czego.. Zaczął bywać w domu naszym i prezesowi podobał się bardzo, ale był na nieszczęście protestantem i szlachcic nowy. Prezes z góry i uroczyście zapowiedział, że gdyby nie wiem jakie miał zalety, o Leokadyi mu ani myśleć.

Znasz że z nim o to spierać się nie podobna, gdy co raz zawyrokuje.

Człowiek mu się jednak tak podobał, że nie tylko potem bywać mu pozwolił, sam do niego jeździł, ale go zapraszał i przyciągał...

Leokadya w nim, on się w niej kochał na zabój, ale to była miłość cierpliwa, trwała lata, nie wydając się z sobą, cicha i prawie tem zadowolniona, że się kochankowie swobodnie z sobą widywać mogli. Litość brała nad nimi! Gdybyś ty ich jak ja widziała, męczących się, usychających a zmuszonych się taić, Leokadyą, płaczącą po kątach, jego czasem aż do wariacyi szalejącego, nie dziwiłabyś się. Żem ja im pomagała czasem widzieć się potajemnie, spotkać na przechadzce, pomówić sam na sam, kilka słów napisać do siebie... Oto mój grzech, za który w piersi się biję. Binisiu, boć może to miłość podsycalo i utrzymywało, a bez tego by ona ochłodła. Ale to trwało, trwało całe lata... bez zmiany. — Z prezesem ani sposób. Kochał pana Daniela, nie dał na niego nikomu słowa bąknąć, bronił go — a niemal codzień, gdyśmy

byli sami, powtarzał: — Szkoda że i łyk i luter! a coby to za mąż był dla Leokadyi. — Ciągnęło się to, powiadam ci — lat kilka... w końcu może i cierpliwości im zabrakło... nadziei zmiany nie było, głowy się im pozawracały... Leokadya cierpiała okrutnie... on waryował... Wykraść ją mógł. nie chciał — ona teżby się była może nie zgodziła.

Kiedy takich dwoje zakochanych poczną radzić, pewnie głupstwo uradzą. Otóż co ułożyli. Pan Daniel miał tak w domu jakoś zamaskować swój wyjazd, aby się zdawało, że go napadli nocą zbójcy i zamordowali. — Mądrował bardzo nad tem, bo chciał to tak zrobić, ażeby nikogo nie posądzano i nikt niewinnie za niego nie cierpiał... Miał tym czasem udać się do Warszawy, gdzieś tu w okolicy szukać kąta, a ja Leokadyą tu przywieść. Spodziewali się tu wziąć ślub potajemnie i małżeństwo przed ojcem utaić.

Pani Benigna załamała dłonie.

— Słuchaj tylko, ciągnęła dalej Wychlińska — Daniel ułożył w domu. choć podobno nie zbyt zgrabnie całą tę historią tak iż istotnie utrzymywano, że został zabity... Wziął dzierżawę Rakowa.

— A! to więc on przezwiał się Żymińskim, krzyknęła gospodyni — to był on — on!

— Wiesz już tedy wszystko — mówiła Wychlińska, nie opuszczaj Leokadyi — ratuj nas...

Daniel obawiając się być poznany przez preze-sa. uciekł do Warszawy. Mam jego adres... Leokadya usycha i rozpacza... Co pocniemy?

Długo zamysłona siedziała nie odpowiadając wcale pani Benigna, podniosła twarz zalaną łzami,

które otarła prędko i jakby nie zważając na siostrę, żywo, odrzucając włosy, zaczęła się po pokoju przechadzać... Znać było, że szukała w sumieniu i myślach drogi do wyjścia z tego zawikłania.

— Moja droga siostro — odezwiała się w końcu, obracając do Wychlińskiej — położenie okropne, prezes uparty... a tu dziecko umiera... i kto wie, co się z nim dzieje. Niech brat robi ze mną co chce — nie mogę się temu oprzeć bym Leokadyi nie ratowała. Mam to przekonanie, że gdy ślub wezmą, gdy rzeczy będą nieodwołalne... prezes nagniewa się ale przebaczy...

Wpędziliście mnie w przykre położenie to prawda, ale jakże się tu mam oprzeć. Wszyscyście winni. — On, prezes, ty, najmniej biedna Leokadya. — O nią tu idzie... o nią.

Chodziła ciągle... głowę cisnąć rękami.

— Gdzież on jest? zapytała.

— W Warszawie... rzekła Wychlińska... Byłabym może zwlekła z wyznaniem przed tobą wszystkiego, ale ten pisarzyna sądowy, który tu przybył... prezesowi już tem głowę nabił że... on nie wierzy by p. Daniel był zabity... Prezes gotów się czegoś domysleć? Co było począć!...

Obie siostry z załamaniem rękami, stały naprzeciw sobie, Wychlińska płakała, Benigna już ocierała łzy. Charakter jej nie dozwalał długo bezsilnie boleć nad tem, czemu w jakikolwiek sposób zaradzić mogła.

— Pierwsza rzecz, moja droga, ozwała się narzucając na siebie szal — idźmy do Leokadyi, jeżeli ona nie spi. trzeba jej choć jedną chwilkę cierpienia oszczędzić.

dzie i zanieść otuchę. Od tej chwili ma mnie za sobą... Chodźmy...

Uradowana Wychlińska uściskawszy ją, poprowadziła do pokoju Leokadyi. Była już północ może. Zastały ją siedzącą w fotelu z rozpuszczonemi włosami, wyschlą z gorączki i niepokoju...

Od progu pobiegła do niej Benigna rzucając się na szyję.

— Dziecko moje — zawołała — bądź dobrej myśli — od pół godziny wiem już wszystko. Wychlińska za późno mi to powiedziała... Domyslisz się, że chcę twojego szczęścia i że ci do niego dopomóż muszę, ojca przekonamy — ale przede wszystkim uspokój się, ożyw, odzyszcz nadzieję... Masz we mnie czynnego sprzymierzeńca...

Nie nie mówiąc Leokadya rzuciła się jej do nóg i rozplakała ściskając kolana. Popłakały się wszystkie, ale łzy nie były tak gorzkie jak przed chwilą, otucha wstąpiła w serce. Znały panią Benignę z jej energii i czynnego charakteru.

Wychlińska musiała natychmiast sięść i napisać do pana Daniela, aby go także natchnąć lepszą myślą i nadzieją i kazać mu być w pogotowiu... na zawołanie...

List ten w istocie bardzo był potrzebu, zrozpaczony bowiem Tremmer, wyjechawszy z domu już w drodze uczuł się chorym, a podróż zwiększyła gorączkę. Przybywszy do Żymińskiego, który mu w domu swym dawał schronienie, położyć się musiał. Choroba jednak żadna scharakteryzowana się nie objawiła. Miał gorączkę, rozdrażnienie i jedynym symptomem bardziej niepokojącym było, iż nie mówił nic,

nie odpowiadał na pytania. Patrzył. głową trząsł, zbywał gestami, zamykał się sam jeden i Żymińskiego nawet przyjmować nie chciał.

Doktora przychodzącego tak samo zbył trochę nadąsanem milczeniem. Nie jadł prawie, żył wodą, którą się cały dzień poił, a służący zastawał go nieodmiennie nad stołem, spartego na rękach i zaczytanego pozornie w biblii, chociaż w istocie nie wiedział wcale na co oczy jego padały.

W takim stanie znalazł go list, zwiastun losu lepszego, ręką cioci Wychlińskiej pisany, z przypiskiem Leokadyi i p. Pstrokońskiej.

Odebrawszy go, a niespodziewając się wcale aby mu co szczęśliwego mógł przynieść — Daniel nie miał zrazu odwagi doń zajrzeć — położył na stoliku i przez kilka godzin to go brał w rękę, to rzucał... Na ostatek rozerwał kopertę i — jakież było zdziwienie jego i radość, gdy się dowiedział, że sprawę ich brała w opiekę ciotka Benigna...

Tegoż wieczora niemal uczuł się lepiej, a gdy Żymiński przyszedł jak zwykle dowiedzieć się o jego zdrowie, zastał go do niepoznania zmienionym... Przywitał go od progu i w słowach tylko czuć było iż mu nieco gorączki jeszcze zostało...

Na zapytanie Żymińskiego — co mogło tak nań wpłynąć, pokazał mu list. Żymiński ucieszył się tem niezmiernie, bo mu brat ze swą rozpaczą ciężył okrutnie...

— A! to chwała Bogu — rzekł siadając. — Przyznam ci się Danielu. żem w takim rozsądnym człowieku jak ty, takiej pasyi nie mógł zrozumieć. Ja się w życiu kilka razy wściekle kochałem, ale jadłem i piłem żeby

miłości dodać siły, no — i koniec końcem zawsze się to skończyło na tem. żem sobie na wierzbie gruszki wyperswadował.

Niepraktyczna rzecz taka miłość jak twoja, to do niczego nie prowadzi, oprócz chyba do suchot lub fiksacyi. Oboje nie miłe. Żeń się i niech będzie temu koniec. a jeśli mnie chcesz posłuchać, idź naprzód na dobrą kolacyą do Bouquerel'a... bo to grunt...

Daniel uśmiechnął się tylko... lecz list był dlań dostatecznym pokarmem.

Gdyby nie Górnicki, byłby natychmiast do domu powrócił — nie chciał tylko narażać się na zajścia z zawadyką i to go jeszcze wstrzymywało.

Miał poniekąd słuszne przeczucie, gdyż pan Symforjan wcale nie dał za wygraną. Trwał on w tem przekonaniu, że Małejko miał słusność, że w Żymińskim owym był skryty kochanek Leokadyi. ale pisarz dobadawszy się istotnej prawdy. dał się potem zbić z drogi. — Nic go nie kosztowało zrobić awanturę. — Szukając jaką by mógł na przekór nieprzyjacielowi wypłatać, wpadł na myśl denuncjonowania go prezesowi, o którego przyjeździe się dowiedział.

Szło mu tylko o to jak do niego dostąpić, gdy go do Borków nie puszczano, a prezes chory na nogi, nie wyjeżdżał nigdzie w sąsiedztwo...

Przecież choć do kościoła by powinien się ruszyć... mówił sobie.

W kościele przez dwie niedziele czatował na próżno, bo w Borkach była kaplica, a w czasie tak słotnym zwykle się tam nabożeństwo odbywało.

Górnicki, mimo że się Łukaszem w rodzie chwalił, pisać tak dalece nie umiał. Grzebał ci jak kura,

gdy nieunikniona zmusiła konieczność, lecz dłuższy list z sensem i konceptem napisać czuł się niezdolnym. Cudzej ręki i głowy zapożyczać nie bardzo sobie życzył...

Męczyło go wyczekiwanie... i zmusiło się do listu.—Była to praca straszna, która dwa dni trzymała go za stołem. bo więcej mazał niż pisał..

Gdy przyszło potem do przepisywania na czysto, nie pokonane prawie trudności zaszły, i kilka arkuszy papieru rzucił do komina, nie licząc klątw, które z wiatrem leciały.

Kilka razy skrobany list stanął z wielkim mozołem... Zaszło pytanie czy się podpisać na nim. Nowy kłopot... Górnicki wahał się. — Zostawując wręście sobie poparcie denuncyacyi, postanowił wyprawić, anonim...

Trwogę rzuciwszy w obóz — gotów był udowodniać osobiście co donosił.. i oświadczył, że na żądanie prezesa, w liście pod zmyślonym adresem przesłane, gotów się stawić dla objaśnienia...

Pismo pana Górnickiego płataniną było do zrozumienia trudną.

Chłopak odniósł je na odległą pocztę i oddał.

W chwili gdy w Borkach było dosyć spokojnie, a pani Pstrokońska obmyślała co począć aby koniec jakiś przyspieszyć, jednego rana po przyjeździe poczty usłyszała hałas ogromny od strony mieszkania brata krzyk, łajanie i wrzawę. Nie mogąc pojąć co się stało pobięła sama.

Prezesa zastała w furii, stojącego pośród pokojn i z kolei wysyłającego wszystkie sługi po Wychlińską i córkę.

Spojrzawszy nań zgadnąć było łatwo, że coś nadzwyczajnego się stało, trząsał się cały, czerwienił, bełkotał i bił ręką o papier który trzymał. Niezrozumiałe przekleństwa wyrzywały mu się z ust.

Ludzie zobaczywszy go w tym stanie, w który rzadko wpadał, zamiast prosić panią Wychlińską, przestrzegli ją i Leokadyą, że się coś stało, żeby lepiej nie przychodziły, dopóki prezesa nie minie pasya.

Na sam wybuch gniewu weszła pani Pstrokońska. Prezes zobaczywszy ją, poskoczył z listem i rzucił go jej do czytania, nie mogąc słowa wymówić.

Od pierwszego rzutu oka poznała pani Benigna co to było i domyśliła się sprawcy, udawała tylko że czyta pilnie, ażeby się namysleć, czy korzystając z tej okoliczności przyznać się do wszystkiego, czy wszystkimu zaprzeczyć.

Nie sposobna do odgrywania komedyi—pani Benigna miała wstręt do ukrywania prawdy, lecz w tym wypadku należało wzburzonego prezesa naprzód czemś uspokoić. Oczy mu się iskrzyły, krwią pozapływały, trząsał się... drżał...

— Wołać mi Małejki! powtarzał naprzemiany — a potem—Gdzie Wychlińska? Gdzie córka! Pakować rzeczy! I znowu—wołać Małejki.

Małejko był jeszcze we dworze.

— Co ci jest — przerwała zimną krew odzyskując powoli Benigna—wszak to jest głupi anonim... jakieś oszczerstwo.

— Anonym! ale on mi dopiero oczy otwierał—krzyczał stary—wy wszystkie jesteście w spisku... Córka, siostry i ten zbrodniarz.

— Ale jakże możesz tak głupiemu wymysłowi dawać wiarę! Uspokój się, pomiarkuj bracie — nie rób w domu skandalu, — co ludzie pomyślą. Dajcie mu szklankę wody.

Prezes padł na krzesło.

— Wyście wszyscy zdrajcy. wołał, otoczony jestem czychającymi na mnie, na moje dobre imię. na sumienie moje. Po toście sprowadzili ją tutaj.

— Ale cóż się stało? przerwała Pstrokońska... cóż się stało?

Słudzy, którzy nie widzieli żadnego niebezpieczeństwa w przywoływaniu Małejki, pobiegli po niego. Małejko właśnie wchodził. Widząc prezesa w tym stanie przebiegły człek przeląkł się i od pierwszego wejrzenia postanowił być bardzo ostrożnym. Oczy gospodyni wyraziście nań skierowane jeszcze go mocniej w tym zamiarze utwierdziły.

— Słuchaj waćpan, odwrócił się ku niemu prezes — pierwszy mi zacząłeś otwierać oczy. Mów prawdę! Więc tak było że ten niepoczciwy człek, któremu ufając wpuściłem go do domu — umotał sobie udając śmierć, pochwycić mi córkę? Więc to ja jeden byłem ślepy? Komedią ze mną grano?

Małejko słuchał z uwagą.

— Ja pana prezesa nie rozumiem, rzekł po chwili — o co to idzie.

— Pan Daniel udał że go zabito! tak! pochwycił prezes — nieprawdaż?

— Ja o tem nic nie wiem, wybąknął Małejko.

— Mówiłeś mi sam.

— Ja? panie prezesie? Ja? powtórzył pisarz — ja tylko z mojego stanowiska sądowego wyraziłem, że

nie bardzo rozumiem tę sprawę, ale też i śledztwo mogło być źle prowadzone. Zresztą co ja wiedzieć mogę?

Zmiarkował prezes że wcale niepotrzebnie w gniewie, wtajemniczył człowieka obcego w sprawę poufną, domową. Zawstydził się i ochłonał nieco. Cofnąć się już nie było podobna.

— Daj mu waćpani ten list, odezwał się oprzytomniając nieco do siostry. Czytaj waszmość i mów mi co o tem myślisz.

Pani Pstrokońska dając znak pisarzowi tajemny, wyciągnęła mu list, który ten powoli z uwagą czytać zaczął.

Prezes patrzył na niego i czekał.

— W głowie mi się zawraca! zawołał prezes — cóż to wszystko znaczy? co to jest? gdzie prawda? Żyje ten człowiek czy zabity? Ja nic nie rozumiem.

— Ano ja, szczególnież ciebie, panie bracie — dodała Benigna.

Małejko widząc, że tu już raczej zawada być może niż pomocą, wysunął się pot ocierając z czoła.

Pani Pstrokońska śmielsza mówiła dalej.

— Któż ci bajkę niedorzeczną splótł, może na wyłudzenie grosza, a ty gotówes był chore swe dziecko ubić gniewem, dawszy się wziąć na taką niepoczciwą bajkę.

Stary zadumał się.

— Bajka! rzekł — hm! w bajce połowa prawdy Z Bogiem! z Bogiem! niech będzie jak sobie chce — ja jutro z Leokadyą do domu jadę; ja się i snu takiego lękam, który mi grozi wystrychnięcie ojca i powagi rodzicielskiej na śmiech. — Jedziemy jutro.

— Ty, jak chcesz — odezwała się siostra śmiało — ale ja Leokadyi nie dam; ona jest chora i chyba zabić ją chcąc, można zmuszać do podróży. Jeśli ją zabierzesz gwałtem, prezesie, bardzo mi będzie żal jej, lecz w takim razie grosza z jej majątku nie dostanie. Tyś uparty, ja nie pozwolę ci, żebyś mnie oszukał i wszystko na ubogich.

— Tak, ja ukarzę cię — rzekł prezes.

— Nie, bo ona jest dla mnie potrzebna, a ja potrzebuję dla podźwignięcia rodzin na wie. Że ona nie może mieć będzie czy nie, ma moje serce. Z tobą —

Prezes się obraził.

— Asińdźka mnie w swoim domu przyjmujesz pięknym marcypanem.

— Bracie. ujmuję się za twoją córką, a ty w tej chwili chcesz być jej katem.

Stary mruczał coś niewyraźnie.

— Cóрка ma do wyboru, powiedz jej asińdźka — między ojcem a ciotką — niech wybiera.. nie powiem słowa... ale ja pojadę.

To mówiąc wstał, i chwiejąc się wyszedł z listem do drugiego pokoju, sługi za sobą wołając.

Położenie było krytyczne. Pani Benigna stała myśląc co pocnie. Zdało się jej wszakże. iż dając bratu ochłonąć, nie drażniąc go więcej, zdoła zażegnać tę burzę. Gdy prezes wysunął się do drugiego pokoju, drzwi zatraskując za sobą, ona siadła w fotelu na straży, aby zapobiedz nadejściu siostry i Leokadyi. Obawiała się ich przybycia.

Wypadek ten poruszył tak cały dom, zwichnął porządek i spokojnych mieszkańców Borków nastra-

szył, iż służba i dwór w sieniach nie wiedząc co począć—stała strwożona.

Ciocia Wychlińska klęczała i modliła się; — do Leokadyi nie dopuszczono wieści żadnej. W zupełnej nieświadomości o tem co się stało ubrawszy się, wyszła ona do ojcu i z uśmiechem przestąpiła do niego, mówiąc słowa, aby się nie martwić.

Leokadya nie wiedząc co się stało, wryta do drzwi.

Prezes chodził tym czasem po drugim pokoju, uciekwszy od siostry, nie rad z siebie, gniewny na wszystkich a najbardziej na własny brak taktu, pomiarkowania i niepotrzebną gorączkę. — Był to charakter tego rodzaju który zwyciężyć się nie mógł nigdy, unosić się dał namiętności, i w tejże chwili żałował popełnionego błędu. W naszym kraju i plemieniu ludzi takich przeważnie jest wielu.

Strzelał baki kochany prezes. a gdy raz spuścił kłosa, upierał się biorąc jednak cel ciągle, aby nie okazać że się omylił. Nie umiał się cofnąć i przyznać do błędu. Sam teraz nie wiedział co czynić dalej, wojna była wypowiedziana, uznać się zwyciężonym nie dozwalała powaga głowy rodziny,

którą musiał przecie utrzymać. Chodził prezes i myśli pozbierać nie umiał. Hałas i wrzawa jakiej narobił. powołanie Małejki niepotrzebne, wzięcie do serca głupiego paszkwilu, kłótnia z siostrą, dane dyspozycje do wyjazdu, wszystko to chodziło mu po głowie, po sercu i burzyło go a burzyło.

Wśród tej walki z samym sobą lekko przymknęły się drzwi, i wszedł z tabakierką w ręku a chustką długo puszczoną, obojętny na pozór, zimny, nieporuszony, jakby o bożym nie wiedzący świecie — Ojciec Serafin.

Stary to był przyjaciel domu i prezesa, a człowiek i umysłu i charakteru niepospolitego, chociaż w nim wielkie przymioty pokrywała powierzchowna prostota i dobroduszość taka, iż go zrazu wziąć było można za naiwnego prostaczka.

Z przeszłości ojca Serafina wiadzano tylko tyle, że w świecie należał do znakomitej rodziny i że go nieszczęście jakieś w kaptur i habit zaszyło. Było to temu dawno, bardzo dawno. bo ojciec Serafin miał lat około siedmdziesięciu chociaż cieszył się zdrowiem żelaznem, zawdzięczając je surowemu życiu i zahartowaniu. On sam o tej swej przeszłości nie wspominał nigdy, dziś był już tylko bezimiennym ojcem Serafinem.

Przyjaciel prezesa miał nań wpływ wielki, — chociaż nie chlubił się nim ani go okazywał. Zdaje się że pani Pstrokońska szepnęła mu słówko i wskazała potrzebę przyjścia do prezesa...

O. Serafin wchodził jak człowiek, który o niczem nie wie i nic się nie domyśla, z dosyć wesołą twarzą dni powszednich, nie zachmurzoną troską żadną.

Twarz jego pargaminowa, wypogodzona, uśmiechnięta... patrzała na prezesa jakby go pytała co mu jest, wprzód niżeli usta wyrzekły zapytanie...

— Cóż to mi tak pan prezes coś sumuje.. sumuje....? hę? Czy nogi kręcą? czy... nie domaga głowa? czy żołądek...

— A to ty chyba nic nie wiesz? przybliżając się żywo spytał prezes.

— A cóż ja mam wiedzieć? zażywając długo tabaki i strzepując palce odezwał się przyjaciel. — Cóż tam się stało?

— Toż cały dom do góry nogami przewróciłem...

— Nie widzę — odparł ksiądz...

— Ale bo mnie zburzyli, powiadam ci, że mi się wątroba zwinęła... Jak na złość, jak na przekorę... w chwili gdy zdawało się, tu wszystko zaczyna iść jak z płatka.... piorun, powiadam ci.... piorun padł....

— Cóż to takiego...?

Prezes wychodząc pochwycił był list bezimienny.. i rzucił na stół w drugim pokoju, drżącemi rękami chwycił go, przyniósł ojcu Serafinowi i podał.

— Na masz, czytaj i sądz...

Ojciec dobył okularów z zarekawa, poszukał krzesła, siadł tyłem zwrócony do okna i pomaleńku, z uwagą list czytać zaczął. Prezes stanął nad nim, oczy wlepił w niego i badał jakie to pismo uczyni wrażenie. Lecz ojciec Serafin zwolna z wiersza na wiersz przechodził nie okazując najmniejszego poruszenia... Długo dosyć dobijał się do końca listu... przeczytał zakończenie, poszukał podpisu, nie znalazł go, list parę razy obejrzał ze wszech stron, okulary

powoli zdjawszy do futerału schował i siedział milczący...

— Cóż ty na to?

Serafin lekko wstrząsnął barkami...

— Ktoś wystrzelił z za płota prochem, a pan narobiłeś hałasu...

— A jakże... zda? nie ma w tem prawdy?

— Powiedz mi na szanowny prezesie, my co tam w okolicy mieszkamy i żyjemy prawdy byśmy tej nie odkryli i nie na macali, a tu by ona komuś o sto mil była tak jasną? Coś mi się nie zdaje.

— Ale zważ tylko — przerwał prezes... co za osobliwy skład okoliczności. na kilka dni przed tem pisarz Małejko. wszakże go znacie? właśnie mi mało nie to samo dowodził, że Daniela zabicie wymysłem jest i jakąś sztuką?

— Kto? Małejko? A znasz pan prezes tego kawalera? — Ja go od dawna widzę i patrzę nań i zdaje mi się, że go trochę się znać nauczyłem. Małejce idzie zawsze o to, ażeby jaśniej widział niż drudzy... Otóż i tu chciało mu się być mądrym...

— Przecie takiej bajki jak w tym liście z palca się nie wywija? zawołał prezes... W tem coś jest... Pośadzam Wychlińską, pośadzam córkę. a gniewam się na Benignę, bo mi nóż do gardła przykładają... Wystaw sobie, że Leokadyi puścić nie chce ze mną, pod groźbą wydziedziczenia... A no, dobrze, jeśli nie pojedzie — ja ją wydziedziczę. Niech wybiera...

I począł chodzić po pokoju krokami szerokimi, sapiąc z gniewu znowu. Ojciec Serafin patrzył w okno i milczał.

— Będzie jutro słota! rzekł.

— Co! spytał prezes... nie odpowiadacie na moje pytanie.

— Na jakie, kochany prezesie!

— Mam słuszość czy nie?

— W czym-że?

— Że córkę ztąd chcę wywi... [uszę być ostro-
żnym...

— A cóż jej tu grozi? spytał...

— Kto ich wie, te baby ją za mieszczanina i here-
tyka wydać gotowe jak się bardzo rozczulą, a ja na to
pozwolić nie mogę.

— Ja powiem panu prezesowi — rzekł ksiądz —
prostaczek sobie jestem, wiem o tem, że kościół mał-
żeństw podobnych nie pochwała, że ich w wielu ra-
zach broni, ale też — są wyjątki, są wyjątki! kościół
często ma na widoku, że w pożyciu ciąglem ludzie się
dobrowolnie ku prawdzie nawracają, gdy atmosfera
jej otacza ich ciągle. Potem kościół waruje sobie, że
dzieci będą katolikami, a gdy już się ludzie bardzo
uprą — milcząco zezwala.

— A co mi ty tam prawisz o kościele! ja niechcę
mieszczanina i heretyka w rodzie.

— O jakiegoż chodzi? boć — przerwał Serafin —
Daniela niema.

— Ja już dalipan zaczynam się bać, ażeby nie
zmartwychwstał. W tem wszystkiem jawne jakieś
szachrajstwo.

— Niechże mi też pan prezes powie, dodał ksiądz
— o co teraz właściwie idzie — kto winien? co grozi?
gdzie dowody i czy było tu czego się tak bardzo bu-
rzyć i zżymać?!

Stary przez chwilę się namyslał.

— Mój ojczec, rzekł, znasz mnie i sumienie moje, lepiej może niżeli ja sam znam siebie. Stary jestem ale porywczy... trochę despota... w gruncie nie tak zły człowiek. Nie lubię tylko, żeby mi się sprzeciwiano i żeby mnie kto chciał oszukiwać a dolki kopać podemną.

Ten list mnie zburzył. Powiem ci prawdę, sam nie wiem co porobiłem, ale co się stało to się stało... rzecz nieodwołalna... com rzekł to się spełni... czy mam słuszość czy nie, zabierać się trzeba do drogi i jechać. Chce Leokadya ze mną — dobrze... zostaje z ciotką... jadę sam... ale... niech do mnie nie wraca, niech mi się nie pokazuje na oczy... nie znam jej, znać nie chcę.

— Proszę prezesa kochanego, przerwał spokojnie O. Serafin jakby wszystkiego tego nie słyszał lub nie rozumiał — niech mi pan prezes powie... te Borki z przyległościami, z remanentami i tym podobnie. co też one mogą być warte!

Stary zdziwił się pytaniu, nachmurzył, tupnął nogą.

— E! co bałamucisz! zakrzyczał.

— Chcę dla ciekawości wiedzieć — mówił O. Serafin — bo Sochaczewski i kapitan Złomski utrzymują, że gdyby pani Pstrokońska sprzedać chciała, wzięłaby pewnie półtora miliona, nie licząc remanentów i kosztowności. Podobno nie ma piękniejszego majątku w okolicy.

— Niech weźmie sobie za Borki i dwa i pięć, jeżeli się jej podoba — ja córki i za dwanaście nie sprzedaję! ofknął prezes.

O. Serafin zamilkł. pan prezes deptał podłogę niespokojnie.

— Słuchaj ojcze, żartami mnie zbywasz? radź lepiej. Czy na ten list odpisać, czy tego człowieka wezwąć. Jeżeli ma dowody i złożyć je ofiaruje się, czemu byśmy przekonać się nie mieli?

— Niechże prezes i po doktora zawczasu pośle, żeby było komu krew puścić jeśliby gniew lub alteracja przyszła, które niechybnie nastąpić muszą — spokojnie mówił ksiądz. Znaszże pan tego, z którym chcesz się wdawać, w sprawie najpoufalszej, dotyczącej serca dziecka waszego? Znasz-że go z czego innego jak z nikczemnej denuncyacji? Czy przystało prezesowi Boromińskiemu, tam gdzie idzie o jego dziecię, o sławę domu, naradzać się z jakimś awanturnikiem, który twarz trzyma zakrytą?

Obiema rękami strzepnął prezes i poszedł w drugi pokoju koniec, nic nie mówiąc.

— Tak lepiej, rzekł wpół sam do siebie — i odwrócił się do księdza. — Niech ojciec do mnie poprosi Leokadyą.

— O ile wiem, odezwał się ksiądz, panna Leokadya chora, a wiem, że i pan prezes nie zdrów. — Odłożyćby tę rozmowę lepiej do spokojniejszej chwili, kilka zdrowasiek odmówić i koronkę do Przemienienia Pańskiego, modlitewkę do patrona dobrej rady... wody się napić, dać zburzeniu osiąść. — Czy nie lepiej — panie prezesie?

— Ale ja czasu nie mam. jutro jedziemy, to rzecz zapowiedziana i niezawodna... Leokadya albo jedzie zenną lub zostaje — chcę wiedzieć.

— Do wieczora dosyć czasu, a do jutra więcej jeszcze, zawołał Serafin i zamilkł..

W czasie tej rozmowy. która go wcale nie zadowolniła, ale też nie rozdrażniła więcej — prezes znacznie bardzo ochłódł. Wspomnienie jednak sceny odegranej z Benigną gryzło go.

Nie było wyjścia — i sposobu rozwiązania postawionego dylematu... Jemu samemu było to nie na rękę, bo mu się i wyjeżdżać nie bardzo chciało, i mniej jeszcze zrywać z siostrą.

Służący otworzył drzwi i odezwał się spokojnym głosem.

— Pani prosi do stołu!

Stary się odwrócił.

— Bardzo dziękuję, na obiad nie przyjdę. — Drzwi się zamknęły.

Po małym przestanku O. Serafin zapytał.

— Czy jegomość dziś suszy?

— Daj ty mi pokój ze swemi żartami — ofuknął prezes..

Sługa powtórnie otworzył drzwi.

— Pani pyta. w którym pokoju nakryć dla pana prezesa i O. Serafina?

— W pierwszym, podchwycił ksiądz..

Prezes zmilczał... Obiad wkrótce podano na dwie osoby w pierwszym pokoju. Zasiadł do niego stary dając się i zrazu serwetę na talerzu położył, jakby nic jeść nie miał, ale zupa mu zapachniała, a słabość zawsze czuł do dobrej polewki, ręką wskazał, aby mu jej dano. Jadł potem cały obiad w milczeniu, w pół obiadu kieliszek wina sobie i O. Serafi-

nowi nalał, po wychyleniu go drugi. Ale milczał ciągle uparcie i wzdychał...

Już było po pieczystem, gdy jakby mimowolnie wyrwało mu się pytanie.

— Powiedzże ty mi księżo, jak ci się zdaje? może li to być, ażeby ten Daniel zabity żył? he?

— Jeżeli zabity to pewno nie żyje? rozsmiał się Serafin...

— Lecz... możeż to być, aby taką sztuką szatańską chciał mnie podejść?

— Cóżby mu to pomogło. żebyś go prezes miał za umarłego?

— Chciał pewnie... z Leokadyą ślub gdzieś potajemnie wziąć. takbym się nie domyślał...

— I cóż? niewidomym by się stał — czy co? zapytał O. Serafin.

— Rachował pewnie, że ja się zgodzę, gdy nie będę mógł rozerwać... dodał prezes... he! he! nie źle były rzeczy ukartowane, lecz sztuczka się im nie udała.

— Czy pan prezes sądzi, że panna Leokadya zgodziłaby się na odegrywanie takiej komedyi... a przecież bez jej woli staćby się to nie mogło? rzekł O. Serafin.

— Sądzę, że ona by się oparła — odpowiedział prezes, a no, nie znasz takich starych bab jak Wychlińska i Benigna, które gotowe. żeby małżeństwo skojarzyć i kochankom pomagać, namówić niewiedzieć do jakiego kroku... Trzeba je znać! W ich głowach mogło się to wylęgnać... same już nie mając sposobności kochać się i bałamucić. choć patrzeć radę jak drndzy głupstwa robią... To ich sprawa, ich spisek...

O. Serafin dopiwszy wina, zakąsił chlebem, podniósł się z krzesła i począł po cichu modlitewkę dziękczynną. Prezes powstał także i przeżegnał się — rozmowa została przerwana.

Przy czarnej kawie O. Serafin wyszukał talii kart marjaszowych i położył je na stoliku. Prezes usiadł, zaczęli grać o zdrowaśki. Ksiądz wygrał z rzędu trzy pule.

Trwało milczenie. Prezes z gniewem kartami cisnął w końcu.

— Dziś mi się nie udaje — zawołał — to darmo — grać nie będę — oprócz tego też trzeba się do drogi gotować.

— A więc jutro jesteśmy.

— Choćby pioruny biły — słowo się rzekło. Proszę jegomości jeszcze raz kazać do mnie przyjść córce. Dręczy mnie to — chcę raz wiedzieć czy mam jeszcze dziecko. czy mi je już odebrano. Chora czy nie, z ojcem się przecie rozmówić może. Zresztą daje wam słowo, będę łagodnym, ojcem dotąd jestem, a gdybym już nim być nie miał, wiem co się niewieście należy, choćby obalamuconej i niewdzięcznej.

— Przyzwoicie będzie gdy wy ją tu wezwiecie, niżelibym ja miał przez służbę wołać kazać — a może ją i siebie narazić. Zechce — przyjdzie, nie — jak się podoba.

Zawachał się nieco O. Serafin, a potem głosem poważnym, biorąc za rękę prezesa, rzekł.

— Dobrze, ale mi waćpan daj słowo szlacheckie i katolickie, że się do pasyi żadnej nie dopuścisz.

— Daję ci słowo.

— A gdy się, uchowaj Boże, wzburzy zółć w waszmości, zmów zdrowaśkę nim wybuchniesz, boć to się dziecka męczyć nie godzi.

— Ani godzi się też dać mu duszę gubić i rodzinę zszarzać — dodał po cichu prezes. Idź, mój ojcie, idź....

O. Serafin wyszedł zwolna. Prezes przechadzać się zaczął zamyślony, potem przed oknem stanąwszy, które wychodziło ku kaplicy i patrząc na krzyż na jej szczycie, w piersi się bić począł.

— Winienem! zawołał stłumionym głosem — wina moja — wina moja! Po co było do domu wpuszczać człowieka.

Mruczał tak jeszcze nierozumiałemi już słowy, gdy drzwi się otworzyły i Leokadya weszła chwiejnym krokiem, blada, z usty zaciśniętymi drżąca. Postąpiła ku ojcu w milczeniu i pocałowała go w rękę. Heroiczną rezygnacją znać było na jej twarzy zmęczonej i chorej.

— Ojciec chciał widzieć się ze mną? — zapytała cicho?

— Tak, tak — począł prezes, na którym widok dziecka zrobił bolesne wrażenie.

Nie stało mu wyrazów, popatrzał na podłogę i nie śmiejąc już spojrzeć jej w oczy mówił dalej.

— Między mną a Benigną zaszła tu nieprzyjemna scena. Nie chcę tego rozpowiadać, dosyć, dosyć, że ja wyjeżdżam jutro, a wolą moją jest, ażebyś ty ze mną jechała, Wychlińska niech robi co chce.

— Jak tylko to wola ojca i rozkaz.. więc — jedziemy! odpowiedziała spokojnie Leokadya.

— Ale należy ci wiedzieć i o tem, że pod pozorem jakobyś ja tam cię zamęczał, a ona tu ciebie miała uzdrowić i uszczęśliwić, Benisia daje do wyboru — jeśli pojedziesz ze mną — nie weźmiesz po niej nic; ja zaś powiadam jak mówiłem — jeśli nie jedziesz ze mną, znać cię nie chcę i — wyrzekam się...

Prezes ostatnich słów domówił głos podnosząc, wyrażnie i silnie.

Leokadyi łzy się spłynęły, otarła je szybko i pocałowała ojca w rękę.

— Przecież ojciec nie może być nad wszystko co mi ciocia z łaski swej dał... Ja nie potrzebuję ani pragnę wiele... Ci nie potrzebuję... — nie więcej...

— Jutro więc proszę cię i ciebie w drogę — dodał p. prezes — com rzekł raz i się spełnić musi... Wyjedziemy. Jeslibyś była chora... no, to dosuniemy się do Sandomierza, doktora i tancerzą znajdziemy i choćby tam zimę przebyć przyszło... ale z Borków muszę...

— Kochany ojcze... to nie porozumienie, — cicho poczęła Leokadya.

— To nie jest żadne nieporozumienie, ja doskonale ją rozumiem i to czego chcę... a com powiedział raz, musi być... Jedzi... jutro...

Leokadya odwróciła się już odezwać ani słowa, odstąpiła krok i nie słysząc dalszych rozkazów.

— Ja widzę, że ty chora... dodał stary. nie myśl żebyś tyran... chciał być... ale pomiatać sobą nie dam, pod pantoflem nie siedziałem nigdy i siedzieć nie będę — to darmo. — Z wielkiej troskliwości o szczęście dla waćpanny gotowi by cię tu do jakiego zuchwałego namówić kroku — im się zdaje, że wszystko kuruje małżeństwo...

Chciał mówić stary i powstrzymał się, Leokadya ze spuszczoną głową stała, chustką nieznacznie ocierając łzy...

— Ależ ja tyranem nie jestem! dodał — zbliżając się i całując ją w czoło, przecie mnie znasz, przecie choć ty nie powiesz bym serca nie miał. Są rzeczy niemożliwe. niepoczciwe na które nie pozwolę, bo by mi je sumienie wyrzucało... a co godziwe i uczciwe... tegom nie bronik.

Widocznie chciał wywołać jaki wyraz. Leokadya stała niema.

— Zatem jutro wtórzył... Hm? a cicia Wychlińska?

— Zdaje mi się... zechce...

— To, niech ją dzie... ki prez... Powozu dla was powinna przecie być... choć się gniewa na mnie, ja z ojcem Serafinem pojedę moją landarą... Mszę świętą odprawi ksiądz w kaplicy, a potem wyruszymy...

Jeszcze raz obejrzał się na córkę...

Leokadya nie odpowiedziała.

— Żal ci zapewne będzie Borki opuszczać, boć tu weselej. mówił po małej panzie — ale na to nie ma rady. — Poszliśmy na noże... doprowadziła mnie sama do tego... Jam... Mogę powiedzieć, że mnie z domu swego... pędziła. Tak jest, nie inaczej... Ja dla jej milo... o których ojciec Serafin tak szeroko prawi, nie myślę się w poddaństwo zaprzedać. Baba przywykła ze swymi ofycyalistami mieć do czynienia, którzy przed nią placikiem leżą — ale ja przecie mam moją wolę...

Jedziemy jutro...



Leokadya zbliżyła się do ręki ojcowskiej chcąc wychodzić...

— Nie miej mi za złe — rzekł — Benigna tego piwa nawarzyła. a ja i ty pić go musimy.

Za wychodzącą córką oczyma do progu szedł... Gdyby się była może odważyła w najmniejszej rzeczy mu sprzeciwić, byłby nie miał litości nad nią. rezygnacya uczyniła go smutnym i przybitym. Siadł w krzesło i zadumał się ponuro...

Nie długo mu jednak zostało czasu do rozmyślenia. gdyż Wychlińska i pani Pstrokońska wtoczyły się razem, pierwsza wylekniona i biała, druga zupełnie na pozór spokojna i z twarzą pogodną.

Syknął prezes. — Skaranie odesł zobaczywszy je we drzwiach... i wstał.

— Mój bracie, dolewała się głosem niemal wesołym Benigna, Leokadya tedy rozstrzygnęła jako dobra córka i jedzie z tobą. Tyś wygrał sprawę. jam przegrała a szpitalę... em zyskują i ubodzy, co zaw-sze — dobrze... Nie... już cę mówić. Nie trzeba wszakże. aby rodzice z tego powodu z gniewem się w sercu rozcho...

To rzecz skończona. Masz ty swą wolę i postanowienie niezłomne, nie... Nie odstępujesz od swego, ja też. Kocham Leokadyę — lecz muszę jej krzywdę wyrządzić.

Więcej o tem mówić niema potrzeby i nie godzi się. Dla tego możemy i powinniśmy się rozstać tak jak na brata i siostrę przystało, aby ludziom nie dawać powodu do plotek. Proszę cię już, nie dąsaj się, nie gniewaj się, nie pozbawiaj nas przyjemności spę-

dzenia może ostatniego wieczora w życiu. razem i wesoło... Chodź z nami do salonu.

Prezes który innego tonu i wymówek się spodziewał — zamilkł z podziwienia.

— Ale dla czegożbym miał się dąsać, przerwał... zapewne... zapewne... A pani Wychlińska jedzie z nami.

— A jakże? chorej Leokadyi odstąpić nie mogę. byłoby to okrucieństwem a i w Murawcu choć nie tak samotną będzie.

Gdy to mówili, pani Pstrokońska podała rękę bratu i poprowadziła go z sobą do salonu, w którym do koła stolika herbacianego całe towarzystwo stojąc oczekiwało na gościnę. — Nie było w i stocie lepszego środka na zmuszenie do ułożenia gniewów. nad przytomność tylu obcych. Prezes od progu wymógł na sobie twarz spokojną i przywitał się z przytomnymi po przyjacielsku. O jutrzejszej podróży mowy nie było. Leokadya trzymała się opodal z pannami Orzymowskiemi i Felicją ciemną wymuszoną na sobie prowadziła rozmowę. Wyczerpana siedziała przybita i jak martwa. W końcu wszyscy śmiały i pokorny, unikając natrząsania się na siebie przysiadł się Małejko. Ciekawy wzrok jego wędrował po przytomnych, a w duszy zapewne podziwiał i żałował tych osób zapanaować nad sobą nmiających, które z rana odegrawszy scenę gwałtowną, wieczorem mogły się sobie uśmiechać. Prezes dojrzaawszy go w końcu stołu dał mu znak aby się zbliżył. Szyjąc się pomiędzy krzesła i ludzi Małejko skurczony cały podszedł.

— Waćpan pojedziesz z nami, szepnął stary —

miej tłumaczki w pogotowiu, jedziemy jutro do Murawca.

Małejko uklonił się i odszedł.

Wieczór miał pozór zwykłego, codziennego, lecz w istocie nie trzeba było bardzo bystrego wejrzenia aby dojrzeć, że pod tą rodzinną skorupką przyzwoitości zburzone namiętności się kryły. Wśród spokojnej rozmowy, nagle wejrzenie, nienaturalny uśmiech jakby łkaniem przerwany — zdradzały... Obcy spuszczały oczy aby nie widzieć tego co do nich nie należało. — Najlepiej może swoją rolę grzecznego i dobrej gospodyni grała pani Benigna, przecież ile razy spojrzała na Leokadya, płątały się jej słowa i wzrok zaciemniał — drgała jakby ją dreszcze przebiegły. Ona, Wychlińska i biedna Leokadya patrzyły ciągle na siebie. mówiły do siebie oczyma bo inaczej nie mogły. Cicha ta rozmowa niepostrzeżona dla prezesa trwała przez wieczór cały. Wcześniej trochę niż zwykle towarzystwo się rozchodzić zaczęło. Przeciwno zwyczajowi swemu, bo prezes przy i dla obcych bywał zawsze wesołym i rubasznym, tego wieczora pozostał milczący jakby zawstydzony, smutny.

Stało się jak i żądał, wola się jego spełniła, a sam on był uciśnięty nią i bolał... Miłość własna nie dozwalała się już cofnąć, ani zwrócić...

Gdy odmawiając pacierze i wzdychając, prezes chodził po swoim pokoju, a Leokadya zmuszoną była przez ciotki pójść na spoczynek, dwie siostry zeszły się z sobą na ostatnią naradę. Wychlińska płakała.

— Co my teraz pocniemy? wołała unosząc się... a! to biedne dziecko!

— Inaczej postąpić nie było podobna — odezwała się Benigna — ja brata znam, walki z nim prowadzić nie można. ustąpić mu chwilowo najrozumniej. On sam później cofnąć się musi — ale zdaje mi się — dodała, że sprawę Leokadyi inaczej przyjdzie poprowadzić, zostawcie to mnie. Niech to będzie moją tajemnicą, bądźcie dobrej myśli... jedźcie i ufajcie, że stara Benigna was nie opuści. — Unikać trzeba nawet wspomnienia tego co tu zaszło... niech wszystko wraca do dawnego porządku...

Powtarzam wam, że ja będę pamiętać o tem. że mi to na sercu leży, i że nie zasnę spokojnie, póki Leokadyi za mąż nie wydam — za Daniela...

— A! toby był cud! zawołała Wychlińska.

— Stare czarownice jak ja czasem ich dokazują. — rozśmiała się Benigna — no — zobaczycie! Ale na dziś to tajemnica moja... Ja prowadzę wszystko, musicie się zdać na mnie!

Wychlińska przybiegła ją uściskać...

— Czuwaj nad Leokadyą — o to cię tylko proszę, dodała Benigna — wy jutro jedziecie do domu... ja od jutra zaczynam moją robotę a nie rzucę jej dopóki do portu małżeńskiego nie dopłyniemy...

Nazajutrz jeszcze się msza odprawiała w kaplicy, a powozy już stały w ganku i ludzie je pakowali spiesźnie. Dzień był szkarady, bo się przepowiednia O. Serafina sprawdziła; nie potrafiło to jednak wstrzymać prezesa... Po śniadaniu dla podróżnych. po pożegnaniach, wśród których łez nie brakło... prezes smutny i milczący skierował się ku drzwiom pałacu. Tu odwrócił się z twarzą chmurną do siostry

i począł ją ścisnąć serdecznie. aż mu oczy łzami zabiegły...

— Bywaj zdrowa Benisiu — daruj mi. przebacz, myśmy ci za twoje dobre serce dla nas źle się pono wywdzięczyli. Grzeszni wszyscy jesteśmy... Dla miłości bożej proszę cię — daruj mi, daruj mi — zawiniłem... I ja też ukarany jestem, dziecka mi żal. siebie mi żal, lecz darmo, słowo musi być dotrzymane...

Jam stary... Bóg tylko wiedzieć raczy, ażali się jeszcze na tym świecie zobaczymy...

I prezes się rozplakał, a Benigna z większą umysłu przytomnością, otuchy mu i serca dodawać musiała.

— Ale zobaczymy się — rzekła wesoło, choć ty mnie nawet nie zapraszasz. zdaje mi się, że ja tam do was wprędce przyjadę. Niech tylko Wychlińska mi nagotuje mieszkanie i żeby było ciepło... Prezes w rękę ją pocałował.

— Słowo? zapytał.

— ~~Ja~~ słowo... i choć to babskie słowo, ale ja ci go dotrzymam — przyjadę...

Jeszcze uścisków kilka i już wszyscy siedzieli w powozach, prezes drogę przeżegnał... woźnica z biczem wypakł, konie mimo plusky na pół śnieżnej, parskając od ganku ruszyły.

Od owego wypadku w Orygowcach, niezmiernie było tam smutno i gdyby pani Słońska miała gdzie albo równie dobre miejsce lub u rodziny przytułek jaki, wolałaby była stokroć pojechać gdzieindziej niż tu żyć z tem wspomnieniem tajemniczego morderstwa. Pomiedzy ludźmi chodziły niepokojące wieści, że wie-

czorami coś nakształt widma nieboszczyka pana Daniela włóczyło się około dworu, pokazywało w ogrodzie i straszyło Jurka. który do inspektów wprawdzie zimą nie biegał, ale zwykł był o mroku różne niepotrzebne ku folwarkowi czynić wycieczki.

Pan Żymiński, który objął był Orygowce, mimo, że tu już więcej nie przyjeżdżał, przez jakieś dziwactwo cały dwór i ludzi służebnych utrzymywać kazał, jak było za pana Daniela.

Ponieważ do czynienia wiele nie było, dworscy chętnie pozostali, zażywając wczasu, nawet pan Franciszek Wierzejski, lokaj nieboszczyka dał się namówić, że przy dworze pozostał.

Z niego jednak pani Słowska wielkiej pociechy nie miała. Gdy nadeszły wieczory jesienne, długie i nudne, radaby była sprowadzić go sobie na rozmowę; a trzeba wiedzieć, że kabałę doskonale ciągnęła i z różnych rzeczy wróżyła tak, że na około o mil dziesięć, ekonomowie i ekonomówny się do niej zjeżdżały radząc się w serdecznych utrapieniach i zawitych sperandach małżeńskich. — Pana Franciszka to jednakże zawabić ani utrzymać nie mogło... mruk był ponury i milczący jak dawniej. — Reszta dworu, nie wyjmując ogrodnika, furmana i ekonoma, została w miejscu... Do roboty nie było nic...

Słowska, zastósowując się do rozkazów nowego dziedzica, dom utrzymywała na dawnej stopie i jakby w gotowości na przyjęcie pana. który się niby to zawsze obiecywał.

Wprawdzie do pokoju sypialnego nigdy o mroku nie wchodziła, lecz we dnie modląc się za duszę nieboszczyka i przybrawszy do pomocy Jurka, otwierała

sypialnią i pył w niej ścierała starannie... Ślady okropnego wypadku zupełnie już były znikły. Okno naprawiono, okiennicę przymocowano, papiery i rzeczy po panu Danielu dawno były pochowane. Nawet kwiaty w doniczkach, które on lubił, podlewano starannie i pani Słońska żywiła je przez pamięć dla nieboszczyka...

Na tej stopie był dworek w Orygowcach. gdy jednego wieczora pośepnego. pan Franciszek Wierzejski, który powoływany rzadko się dał zwabić do pani Słońskiej na pożądaną gawędkę, powróciwszy z miasteczka, przyszedł do niej sam o mroku...

Twarcz jego zwykle chmurna i namarszczona, tym razem była dziwnie wesoła i uśmiechnięta nawet, tak, że pani Słońska posądziła go i w duchu powiedziała sobie. — A no, już by też czego nie stało, żeby się jeszcze Franciszek na starość napijać zaczął.

Tego jednak po nim znać wcale nie było; — lecz że w niezwykajnym był humorze, to pewna. Usiadł pod piecem na ławce i pół głosem nucił, a po chwili rzekł do p. Słońskiej.

— Ot, niema pani co robić, niechby mi pani kabałę pociągnęła...

— Proszę ja kogo! zawołała śmiejąc się ochmi-strzyni, czy nie myśli się pan Franciszek starać o pannę?

— A! to — to nie — rzekł stary pokazując dobrze posiwiałe włosy — ale ot tak — chciałbym przyszłość wiedzieć...

— Jaką?

— Hm, choćby czy my tu długo tak bez paniska siedzieć będziemy.

— Przecież się pan pana Żymińskiego nie spodziewasz, to pewna... odezwała się klucznica. to gacik z przeproszeniem, nie tak jak nieboszczyk co mu wszystko dobre było... on tu by i miesiąca nie wyżł... jemu pulpetów trzeba...

— Dla czegoż to pani pana Daniela — nieboszczykiem nazywa? spytał Franciszek.

Słońska aż się porwała.—Albo co? a co waćpanu w głowie?

— Co w głowie? hm? ot co, że przecież ciała nie znaleźli, zbójców nie odkryli... kto to może wiedzieć co się stało?

Zdumionemi oczyma patrzyła Słońska na mówiącego i przeżegnała się, wyglądało to na żart nie przyzwoty.

— I wstydzilibyś się waćpan — rzekła poważnie, takie nedorzecznosci pleść, a z grobów ludzi wywoływać. Juścić gdyby żył. dawno by o nim była wiadomość. — Nie żartujcież — proszę.

— Ale ja wcale nie żartuję — poważnie począł Franciszek — co paui myśli?

— A cóżby się z nim stało?

— Albo ja wiem, mnie przecież w domu nie było — mówił Wierzejski — ale czyżby to nie mogło być, żeby z pilnym jakim interesem pojechał gdzieś daleko.

— A po cóżby oknem się z domu dobywał?

— Może mu tak było dogodniej, mówił uśmiechając się Franciszek — kto to ma wiedzieć? Różne się rzeczy na świecie trafiają! Ludzie co poginęli i w dziesięć lat wracają, pani musiała słyszeć tę historyjkę o żonie, która męża się nie doczekawszy

przez lat sześć, drugiego sobie wzięła, aż tu — paf! i pierwszy z polowania powraca.

— Zawszebyście na te nieszczęśliwe kobiety coś komponowali! — westchnęła Słońska, ot bałamucisz.

— Cóż pani chce! pocieszam się jak mogę, ziewnął stary, strasznie u nas nudno. Niech pani ciągnie kabałę, kiedy my się jakiego pana doczekamy.

— Chyba jakiego, ale już nie tego co był, bo tak pocziwego człowieka drugiego pono na świecie nie masz...

To mówiąc machinalnie pani Słońska kabałę kłaść zaczęła, wpatrując się pilno w karty.

— A wie pani co? wyrwał się po długiemi milczeniemi Wierzejski, ja mam takie osobliwsze przeczucie którego mi nikt z głowy nie wybije, że nasz pan powróci.

— Że też się waćpana dziś takie nieprzyzwoite żarty trzymają, — zawołała Słońska, co panu jest?

— Ale mi nic nie jest, tylko niech pani zważy sama? Wszak i policya i sąd głowy potracili, nie doszukali się niczego. Człowiek był z wielką fantazyą, dojadło mu siedzieć na miejscu, pojechał się przewietrzyć.

Słońska spojrzała milcząco na pana Franciszka, najmocniej przekonana, że się napił.

— Ot, posłuchaj waćpan lepiej mojej kabały, rzekła. Kabała powiada, że istotnie nowy pan przybędzie. Tak, czekajże, coś mu tu przeszkadza... zawady wielkie na drodze. Kralka żołądka... kobieta przychodzi w pomoc.

— Dobrze kabała powiada! szepnął Franciszek.

— Druga kobieta kocha go... Kabała przepowiada mu ożenienie... słowo panu daję...

— Wie pani, że chyba i ja od dziś dnia w kabałę uwierzę — odezwał się Franciszek — a pani nawzajem uwierz w moje proroctwo, że nasz pan powróci. Ja mam takie pewne przeczucia...

Słońska zamilkła.. Ona była tak przekonaną o śmierci pana Daniela, że gadaninę Wierzejskiego przebaczała tylko tłumacząc ją sobie winem wypitem w miasteczku.

Tak się rozeszli dosyć późno. Nazajutrz około południa, Franciszek, co się nigdy nie zdało, przyszedł sam zażądać klucza od pokoju sypialnego, ażeby tam uporządkować.

— Cóż to, czy w istocie waćpanieś sobie w głowę wbił, że nowy dziedzic przyjedzie? spytała uśmiechając się Słońska.

— No, tak — albo i stary, rzeki krótko Franciszek — i poszedł wprost do sypialni, Jurka za sobą wołając.

— Staremu się w głowie pomieszało — szepnęła ochmistrzyni i ręką machnęła. Właśnie była wyszła w ganek i miała się wybierać dalsze obejrzeć gospodarstwo, gdy na grobelce ukazała się bryczka wprost zdążająca do dworu. Słońska spodziewając się, że to będzie ktoś sądowy i że ona tu się przydać może... wstrzymała się w ganku. Bryczka szparko zatoczyła się pod wschodki, a z niej ukazała się głowa p. Daniela. Na ten widok niespodziany Słońska oczy sobie zakryła, krzyknęła — Wszelki duch Pana Boga chwali i padła na kolana.

Wesoły uśmiech jej odpowiedział.

— I ja chwale! zawołał pan Daniel, uspokój się, kochana Słońska, jestem żyw i zdrow, powracam do was nie upiorem, ale jak wyjechałem.

Po przest్రachu ochmistrzyni płakać zaczęła i drzeć, zmuszona oprzeć się o kolumnę w ganku aby nie paść. Wybiegł na turkot powozu Franciszek, a z nim Jurko, który zobaczywszy pana, drapnął prze-rażony do ogrodu krzycząc i żegnając się.

Na Franciszku, który już wczoraj przepowiadał zmartwychwstanie nie uczynił powrót ten innego wra-żenia nad wielką i szczerą radość. Na krzyk oszala-łego Jurka zaczęli się zbiegać i inni dworscy i stawali opodal z zabobonną obawą wpatrując się w to widmo, którego powrotu zrozumieć nie mogli... Wkrótce roz-latująca się wieść sprowadziła niemal całą gromadę... kto żył biegł się naocznie przekonać, że to nie była plotka, że pan Daniel w istocie żył, wrócił i nic mu się nie stało... Nikt go nie śmiał pytać o powód i tłumaczenie tego pierwszego zniknięcia a radzi mu byli wszyscy, bo go szczerze kochali. Pan Daniel witał się śmiejąc się... i obiecywał, że się już nie oddali.

Po tem wszedł do domku, w którym tyle lat przeżył z marzeniami spokojnie i zamknął się w nim sam z sobą.

Można sobie wyobrazić jakim piorunem razila wiadomość o nkazaniu się pana Daniela całe są-siedztwo.

Obiegła ona zaraz pierwszego dnia całą okolicę, bo ją sobie z ust do ust ludzie podawali... a żydki oklep biegli do dworów wioząc nowinę zdyszani. Wszędzie prawie spotkało ją niedowierzanie zrazu.

— Plotka głupia. mówił pan Roch — plotka bez sensu. bąkał podkomorzy. A idźże mi ty z taką brednią — wołał stary Hornowski.

Gdy do Murawca przybył także żydek od Fajwla, który oba młyny razem trzymał, prezes dowiedziawszy się o tem od ekonoma, zrazu zamysłony długo i milczący, pobladł i osłupiał. W kwadrans potem kazał na fornalskiego konia sięść chłopcu ze stajni jechać wprost do dworu i na pewno się o tem dowiedzieć. — Chłopiec wrócił z wiadomością, że pana Daniela chodzącego około stajni widział na swoje oczy. Nic o tem nie mówiąc prezes zamknął się w swoim pokoju.

W sąsiedztwie wrzało, pan Roch nie wytrzymał. Nic mi się nie stanie, jak się na koniu prze-
trzepię. a dotrę... toć to przecie coś tak dziwnego, że prawie nie do wiary...

Jak rzekł tak spełnił, przed wieczorem był w dziedzińcu w Orygowcach i spotkawszy fornala zapytał go.

— Cóż to tam plotą, że wasz z tamtego świata powrócił...

Chłopak się zaśmiał. — Już zkąd powrócił to nie wiem, a — jest...

Pan Roch konia zaciął i w dwóch susach był w ganku. Zsiadł oddając wierzchowca, a sam wszedł do dworu. Z panem Danielem nigdy bardzo przyjacielsko nie byli, ale się żyło w sąsiedztwie zgodnie i grzecznie.

Bez ceremonii otworzywszy drzwi sypialni, w której gospodarz przy biurku siedział. pan Roch stanął w nich. popatrzał i krzyknął.

— Dalibóg — prawda! — Witam! ale cóż się z panem działo?

Daniel go przywitał grzecznie. — Jakto! co się działo — ? byłem zmuszony nagle odbyć podróż daleką, a dziś powróciłem...

— A... a toż wszystkie pozory! domysły! rozbój!

— O! ruszając ramionami rzekł Daniel, to prawda, żem dom w wielkim nieładzie zostawił. bom się okrutnie spieszył — ztąd wnioski dziwaczne, bo mnie tu słyszę za zabitego i zrabowanego miano.

— I nie zgłaszał ci się pan ani razu?

— Jakże z podróży do Ameryki i ze statku, który żeglował miałem o sobie donosić?

Pan Roch słuchał, oczom nie wierzył, uszom też nie bardzo, stał, i cała jego postać wyrażała wątpliwość, podziwienie, zdumienie.

— Już to wyznasz, sąsiedzie dobrodzieju, że w tem wszystkim było coś tak niezwyčajnego, dziwnego, niewytłumaczonego, iż można było bez grzechu nawet zabójstwo przypuścić...

Pan Roch domówiwszy tych wyrazów, wszedł z wolna do pokoju i po cichu przysiadł się na sofce... wpatrując się w pana Daniela.

— Nikt z waćpana ludzi i dworu nie wiedział o podróży... rzekł...

— Tak, nikt, nie zdaje mi się ażebym był obowiązany się im tłumaczyć, nad majątkiem czuwał mój brat, który o wszystkim wiedział.

Za panem Rochem wtoczył się w pół godziny jeden z Hornowskich, potem przybył posłaniec od podkomorzego... Nie było znowu mowy o niczem w sąsiedztwie prócz o Orygowcach. Kto jeszcze tam nie

był ten się wybierał, komentowano, rozprawiano, ale na to się zgadzali wszyscy, że cała ta sprawa kuso jakos wyglądała i że w opowiadaniu pana Daniela prawdy nie było...

Na ucho udzielano sobie rozmaitych uwag i przypuszczeń.

Wieczorem do stołu wyszedł prezes zadumany i chmurny, podejrzliwie wpatrując się w córkę i ciocię Wychlińską, na których twarzach nic wyczytać nie mógł.

Sam nad wszelki wyraz ponury był i taił w sobie źle gniew, który w nim wrzał, szukając tylko pozoru do wybuchu. — Miarkował się jednak i wołał milczeć, gdyż czuł, że pierwsze wyrywające się słowo, poprowadzi za sobą wylew niepohamowany.

O. Serafin, który był także u stołu, zdawał się o niczem nie wiedzieć. — Jego naostatku użył prezes, aby ulżyć sobie i wypowiedzieć co chciał nie zwracając do córki i ciotki.

— Słyszałeś, spytał stłumionym głosem — he? wiesz już pewnie...

— O czem? zapytał ksiądz...

— Nieboszczyk się zjawił, szydersko dodał prezes, pan Daniel w Orygowcach znowu...

Potoczył wzrokiem i bladą jak marmur twarz córki, zmieszana ciocia obudziły gniew.

— Dla moich pań to już pewnie nie nowina.

Ciotka zabrała głos.

— Przecież od rana o tem cała wioska wie!

— A jejmość nie wprzód jeszcze? he?? mruczał prezes — coś się tu list bezimienny potwierdza... Ale trzeba się mieć i będzie się miało na baczności...

Do razu tylko sztuka... Już teraz gdyby i doprawdy go zabito, nie uwierzę, a że z komedyantami nie rad jestem mieć do czynienia... więc kwita ze znajomości. Zmartwychwstaniec już tu u mnie nie postanie... nie.

Popatrzał na córkę, siedział, a ona na talerz spuszczonemi, ale ani drgnęła, ani okazała, żeby ją to obeszło...

Wychnińska też odwróciła się od brata i micyła. Musiał więc w rozmowie ograniczyć się do O. Serafina i mówiąc do niego umyślnie w ten sposób by córka go słyszała — ciągnął dalej.

— Ciekawym czy będzie mieć odwagę teraz pokazać się tu, i jak się wytłumaczy z tej dysparycji osobliwszej... I policya też zapewne spyta jegomości z jakiego świata przybywa i dla czego w tak osobliwy sposób z naszego zniknął. Dosyć, że sąsiedzi mają o czem gadać na zimowe wieczory, a że go wezmą na języki, a może i drugih z jego łaski. nie ulega wątpliwości. — Miła rzecz!!

Nie chcąc wystawiać Leokadyi na te przycinki ojcowskie, jak się tylko wieczera skończyła, ciocia Wychnińska wstała i obie wyszły z pokoju — Serafin pozostał z gospodarzem. Zwykle przegrywali jęszcze kilka partyi maryasza, ale tego dnia prezes grać nie chciał... chodził ze spuszczoną głową po pokoju.

— Cóż waćpan na to, zapytał księdza.

— Ja nigdy nie mówię o tem czego dobrze nie rozumiem, kochany prezesie — bo domyślając się mógłbym skrzywdzić człowieka... a najdziwniejsze rzeczy często się potem nader naturalnie tłumaczą.

Szydersko rozśmiał się stary.

— Tu wszystko jak na dłoni — zawołał — anonim miał słuszość, była zasadzka, iist ten zburzył najpiękniejsze ich plany. Widząc, że już tu nic nie wskura, kawaler powrócił. Ciekawym czy będzie miał czoło? To dla niego główna rzecz!

— Kocham was — rzekł O. Serafin, gdyby po staremu wycichał, miałabyś odwagę bez dowodu przypisywać mu jakieś intencje... i napisać na człowieka, który może być niewinnym?

— Nie mam najmniejszej ochoty robić burdy w moim domu — zawołał prezes — i dla tego dziś jeszcze zapobiegając wszelkim pokuszeniom o nowe jakieś stosunki — wysłę grzeczny (nie bój się ojczy) grzeczny list proszący go tylko, aby mnie nadal od odwiedzin i znajomości uwolnić raczył, gdyż z nieboszczykami nie zwykłem mieć do czynienia...

Na to O. Serafin nie odpowiedział już nic, rozeszli się pożegnawszy, a prezes istotnie tegoż wieczora pismo, o którym wspomniał, wyprawił.

Oddano je dopiero nazajutrz panu Danielowi, a dziwnym sposobem jeden ten list prezesa przyszedł do Orygowiec w postaci dwóch, z których pierwszy wiozł posłaniec jawnie, a drugi wcisnął nieznacznie. Ten był od cioci Wychlińskiej.

P. Danielowi przykro się zrobiło czytając list prezesa, prosił posłańca, aby na odpowiedź poczekał i wystylizował ją grzeczną, krótką, pełną uszanowania i smutku, a bez żadnych tłumaczeń, ani prośb o dozwolenie wytłumaczenia się.

Prezes zrazu ani chciał czytać responsu, położył go na stole będąc przekonany, że znajdzie tam uniżone zaklęcia o wysłuchanie. W godzinę może

włożył okulary i rzekł sobie — a zobaczymy też co pisze...

Zdziwił się mocno nie znajdując w odpowiedzi właśnie tego, czego się domyslał, rzucił ją z niechęcią na stół. Byłby opierał się i gniewał gdyby śmiał żądać widzenia i wytłumaczenia — zżymał się jeszcze bardziej, że poddając się tak łatwo losowi, nie żądał od niego nic więcej. Drażniło go to...

Gdy O. Serafin nadszedł pokazał mu list pana Daniela.

— Patrzajże, asińdziej, ani nawet próbuje się tłumaczyć i uniewinnić? Nic, żeby słówko, -- przyjmuje dekret bez apelacji...

Nie mógł tego strawić prezes i mruczał cały jeszcze dzień następny...

W parę jakoś dni potem, przybyła zapowiedziana pani Pstrokońska, dla której już mieszkanie było przygotowane dawno. Brat się jej spodziewał, pomimo to uderzyło go, iż powrót pana Daniela schodził się niemal z temi odwiedzinami.

Wieczorem powiedział sobie.

— Trzeba się tu mieć na baczności, oblężenie formalne i siły nierówne, dwie baby i jedna dziewczyna na mnie jednego starego i niedołęgę to za wiele. Nie zaręczam żeby w obozie nieprzyjaciół nie miał koneksyi i stosunków, bo tu wszystkich sobie jakoś poujmował.

Prezes ratując się jeszcze w podróży, wpadł na pomysł, który mu się zdawał bardzo szczęśliwym. Rodzina Boromińskich tej linii Murawieckiej kończyła się na nim, byli jednak Boromińscy tegoż herbu na Podolu, z którymi prezes utrzymywał stałą korespon-

dencyą. Ludzie to, jak powiadano, mieli być dawniej majątni, a pan Ernest Pilawa Boromiński dziedziczył dwie piękne wsie rozdzielone Kordonem, z których jedna w Galicyi, druga z tej strony położoną była. — Z dwóch synów pana Ernesta, jeden się kształcił w Theresianum, a później kończył uniwersytet w Wiedniu, drugi wychowywał się w kraju. Zaraz po powrocie swym prezes potajemnie bardzo do krewnego wyprawił list obszerny, poufny, malujący mu położenie i otwarcie proponujący połączenie dwóch szczepów... żądał od niego przysłania syna, ale w ten sposób, ażeby przybycie jego miało pozór dobrowolnych odwiedzin. Zapraszał go razem z ojcem. Szczerze przytem obliczył prezes jakie to ożenienie przedstawiać mogło korzyści.

Odpowiedź nadeszła szybko: pan Ernest tłumaczył się i przepraszał, że na ten raz sam przybyć nie może, będąc chorym, lecz oznajmił, że syn starszy, Galicyanin, hrabia Boromiński Otton, będzie miał honor służyć w Murawcu i polecał go względem prezesa.

— Za otwartość kochanego kuzyna, nie godniebym się wypłacił, gdybym mu wzajemnością nie oddał, pisał pan Ernest. Otton ma lat około czterdziestu i w towarzystwach najpierwszych w Wiedniu, uważanym był za jednego z najmilszych i najzdolniejszych ludzi. Rozpoczął był karierę dyplomatyczną, ale ta, jak inne, nie odpowiadała jego usposobieniom. Najlepszy w świecie człowiek, serce złote — lekki jednak trochę i potrzebujący się usatkwować — co właśnie szczęśliwe małżeństwo dokonaćby mogło. Ottona majątek nieco odłużony, ale pałacyk i park ma śliczny,

a łatwo by się to dało oczyścić. Jako człowieka w salonie poznać go i ocenić. Szlachetny jest i rycerskiego charakteru, podobać się umie, potrafi zastósować. Oddaję go w ręce wasze, szczęśliwy jeśli go łański godnym uznacie... i t. d.“

Ta część listu nie zupełnie prezesa zadowolniła, domyślał się, że ten, o którym własny ojciec zmuszony był mówić, iż nieco lekkim jeszcze pozostał doszedłszy lat czterdziestu, w istocie bardzo płochym być musiał. Lecz był to Boromiński z tytułem hrabiowskim, człowiek miły, dobrze wychowany, mógł się przywiązać. usatkwować a majątkowo od jego wybryków zabezpieczyć się zdawało możebnem. Byle się Leokadyi podobać umiał.

Nikt w Murawcu oprócz prezesa o grożących tych odwiedzinach nie wiedział. Baczny ojciec zastrzegł sobie zawczasu, ażeby nie wyglądały wcale na konkury, sądził, że kochanie powinno przyjść nagle, niespodzianie i t. d.

Ciocia Pstrokońska od dwóch już dni zabawiła brata i gospodarowała w jego domu, gdy w południe jakoś, w sobotę, powóz końmi pocztowymi zaprzężony, ze strzelcem paradnym ukazał się przed ganikiem.

Wysiadł z niego piękny bardzo, postawy pańskiej, wytwornie ubrany mężczyzna miłej twarzy i spytał o pana prezesa. Obie ciocie bardzo to zaciekawiło, lecz ucieszyły się gdy im sam prezes zaraz oznajmił, jak miła go spotkała niespodzianka... tak dawno niewidziana gałązka ich szczepu.... Boromiński!!

Nikt w świecie nie posądzał prezesa o przygotowanie potajemne odwiedzin tych. Cieszyli się wszyscy rozrywką jaką im gość poufały, należący do rodziny przynosił.

Gdy hrabia Otton ukazał się w salonie, ze swobodą właściwą ludziom co wiele żyli w świecie, z niezmierną umiętnością znalezienia się, z zasobami dowcipu, z oglądą i wprawą trochę podstarzałego kawalera, który całą zewnętrzną młodości i świeżości werwą potrafił zachować, — mieszkańcy Murawca, którzy tak doskonałego artysty nigdy w życiu nie widzieli, w życiu powszednim, nie mogli się oprzeć uwielbieniu dla niego. Prezes był zachwycony, ciocia Benigna — pokochała go niemal, Wychlińska osłupiona nań patrzała; Leokadya tylko pozostała dosyć zimną. Na niej jednej sztuczny człowiek uczynił wrażenie dzieła kunsztu, automatu cudownego, w którym grały sprężyny, nakręcone ręką mistrza...

Jakie wrażenie na hrabi galicyjskim uczynił dom i ludzie, tego wyczytać zeń nie było podobna; z wszystkiego był nadzwyczaj szczęśliwy. podziwiał, chwalił, cieszył się—umiał się zastosować, do każdego mówił jego tonem, słowem, zdawał się stworzonym na zięcia.

Takim go od pierwszego dnia znalazł prezes... Nazajutrz odwiedzając go w jego mieszkaniu, trochę się zląkł popatrzawszy na paradnego w zieleui. od złota strzelca ze stósownym kapeluszem na rozpakowane przybory podrózne, które mu się królewsko wspinałemi wydały, na ranne ubranie kawalera prawie kobiecej elegancji, ale najwykwintniejszego smaku.

— Pięknoszek—rzekł w duchu prezes — do zbytku znać nawykły, ale na tego rodzaju fantazyą im stanie, byle innych nie miał.

Przez cały dzień hr. Otton bawił prezesa i ciocię Benignę, rzadko bardzo zwracając się ku Leokadyi, która mu za to wdzięczną była. Pani Pstrokońska olśniona wczoraj i uradowana, następnego dnia uczuła się odczarowaną... z pod świetnej a płytkiej rozmowy salonowego człowieka już dno było widać piaszczyste. Na myśl jej też nie przyszło, ażeby to miał być konkurent do Leokadyi...

Na uboczu prezes trochę niecierpliwie spytał ją—A jakże się siostrze kuzynek wydaje?

— Bardzo miły człowiek — odpowiedziała Pstrokońska, wczoraj byłam nim nawet zachwycona, dziś mi się nadto uperfumowany wydał.

— Perfumy i elegancją lubi, to prawda—rozśmiał się prezes. ale kobietom się tacy ludzie podobają.

— No—bracie—nie wszystkim...

Leokadya była milczącą. Parę razy próbował rozmowę zawiązać przybyły, lecz nie szła jakoś, i—nie nalegał... Dla obu ciotek za to był przesadzenie grzecznym i czułym.

Niewinne na pozór zapytanie prezesa i jeszcze słówko jakieś wyrzeczone nieostrożnie przed Benigną pozwalające się dorozumiewać, iż stary był w stosunkach z ojcem hr. Ottona — rozbudziło podejrzenia pani Pstrokońskiej. — Znając ludzi postanowiła bacznie śledzić, czy się czem nie zdradzi konkurent w przybylszu, i mimo zręczności hr. Ottona już wieczorem była pewna, że jest na tropie uknutego spisku.

Wzięła zaraz na stronę pocziwego ojca Serafina, którego pewna była, że Leokadyi jak najlepiej życzył.

— Księżulku—szepnęła mu—coś mi się zdaje, że ten tu nie darmo i nie sam z siebie—przyjechał?

O. Serafin palec tylko na ustach położył. Dość jej było tego znaku, wróciła do salonu przypatrywać się kuzynkowi, ażeby wiedzieć z jakiej go zażyć strony.

Od dawna nie widziano prezesa w tak wybor-nym humorze, ani tak występującego jak na przyję-cie hrabiego Ottona. Zdawał się w nim zakochany... Kuzynek posuwał względność dla gospodarza do tego stopnia, że z nim grywał w maryasza. Anegdoty austriackie, które nader zręcznie opowiadał, były tu nowe i zbogacały repertoar prezesa, lubiącego po staropolsku trafne dykteryjki... Pół dnia siedzieli razem, stary się nim nacieszyć nie mógł. Trzeciego czy czwartego dnia po cichej bardzo poufnej rozmowie prezes go uściskał, ucałował i rzekł mu wprost.—Przysiadź bo się, a raźnie... a śmiało, a na chłody początkowe nie bardzo zważaj, kobiety lubią napastników...

Wyrazów tych ciocia Benigna nie słyszała wprawdzie, ale uścisk ów i szeptanie oka jej nie uszły i to że pan hrabia wprost po tem, pokołowawszy nieco po salonie, przysiadł się już do Leokadyi.

Powiedziała sobie: — Mam cię, ptaszku.—

Pani Pstrokońska stała w oddzielnej przybudówce dworu Murawieckiego. Ponieważ nawykła była do obszernego pomieszkania, dano jej apartament

cały... W temże skrzydle przez sień tylko dwa pokoje zajmował hrabia Otton. — Przez cały wieczór nie spuszczał z oka kawalera ciocia Benigna, upewniła się, że przybył nie darmo, że był bardzo zręczny i że prezes mający słabość do niego, całej swej powagi rodzicielskiej użyje, aby go córce narzucić. Leokadya nie domyślała się tego, miała tylko jakąś instynktową trwogę, i wstręt do tego człowieka... Wychlińska Bogu ducha winna, nie wiedziała jeszcze nic, utyskiwała tylko nad tem, jak mu się tu wszystko parafijańsko wydawać będzie.

Jeszcze dzień jeden poświęciwszy na zbadanie tajemnicy i upewnienie się o zamiarach hr. Ottona,—postępowaniem jego utwierdzona w swem przekonaniu pani Benigna, postanowiła kontreminę przeciw brata planom podkopać. Zrazu dowiedziawszy się, że prezes będzie zajęty przybyłymi za interesem z sąsiedztwa z dwoma ichmościami, którzy go o kompromis prosili, ciocia Benigna posłała po kuzynka, wzywając go do siebie.

Szczęśliwy z tego dowodu łaski dziedziczki Borków, o którą bardzo mu polecał starać się prezes, hr. Otton pospieszył do niej. Zastał ją z pończoszką u okna, bardzo skromnie ubraną... samą jedną...

— Ponieważ brat dziś zajęty, a wy tak jesteście sami jedni, bojąc się ażebyś kuzynek nie nudził się, posłałam go prosić do siebie. Nie bardzo cię moją rozmową ubawię — ale przynajmniej nie uśniesz... Przyznaj się, że ci tu po Wiedniu musi być nudno.

— A! nie! zawołał Otton — je suis de bonne composition, nie nndzę się nigdy. a tak miłe towarzystwo jak tu, rzadko się spotyka.

— Nawykłeś jednak do świetniejszego.

— Bywałem w różnych...

— Jednak więcej pewnie na wielkim świecie. Gdybyś się chciał nawet tego zapierać, znać to po was... Mnie kuzynka trochę żal — no — ale coś dla rodziny uczynić potrzeba. To wasza ofiara na jej ołtarzu.

— Wcale dla mnie nie ciężka! śmiejąc się rzekł hr. Otton, jestem tu jak w raju doprawdy...

— Brak tylko Ewy... dodała Benigna...

— A! i to nawet nie, bo kuzynka Leokadya bardzo by nią być mogła...

— Tak? spytała ciotka Benigna... Czy ci się podobala?

— Bardzo — rzekł hrabia — mało jeszcze miałem sposobności bliżej ją poznać, lecz coś ma w sobie sympatycznego.

— A! rozśmiała się pani Pstrokońska... ale nie znajdujesz, że wygląda smutna i jakby chora? Ja zmianę od niejakiemu czasn w niej widzę.

Westchnęła ciotka i jakby posmutniała sama, Otton spojrział na nią ciekawie.

— Państwo bo na przekór całemu światu żyjecie, dodał po chwili, dla młodej osoby życie tak spędzać na wsi, osamotnionej, gdy wszyscy skupiają się do miasta na zimę — to wpływa na humor.

— Leokadya nie lubi się bawić — odparła ciotka, ona zresztą do tego rodzaju życia nawykła...

— Pomimo to, sądzę, przerwał Otton, że doskonaleby się zaklimatyzowała w ożywionych salonach stolicy jakiej...

— Nie wiem, może — mówiła ciotka... ale o czym bardzo wątpię, to żebyście wy, kochany kuzynie, mogli się z naszym życiem oswoić i do niego przywyknąć.

— A! zawołał żywo hr. Otton... ja nawet lubię wieś, miejska ta wrzawa, której miałem dosyć, sprzykrzyła mi się... Wzdycham do spokojnego wiejskiego kątku.

— Ale w gniazdku we dwoje? nie prawdaż?...

— Tak, zdaje się, że czas by już było... szepnął wzdychając i gładząc dosyć już znaczną łysinę hrabia Otton.

— Przyznajże mi się jako życzliwej krewnej, czy... nie przyszło ci już co na myśl patrząc na Leokadyę?

Zapytanie to tak śmiało rzucone, zdawało się podyktowanem życzliwością i hr. Otton nie domyślając się w niem złej woli, choć nieco się zawałał,—odpowiedział otwarcie.

— A! gdyby to było możliwem?

Benigna popatrzała nań z uwagą.

— Siądź no tu przy mnie, rzekła, pomówimy. Możesz mi wierzyć, że ci, dobrze życzę. Jeśli ta myśl już się w tobie zrodziła mam sobie za obowiązek być z kuzynkiem otwartą, a zobaczysz, że ci to nawet wyjdzie na dobre.

Otton pospieszył pocałować ją w rękę, Benigna mówiła dalej.

— Będę z tobą szczerą. — Mam wszelkie szanse, że staranie by ci się powiodło, jesteś miły, umiesz

sobie ująć ludzi, prezesa niezawodnie miałbys za sobą... ale — ale o serce Leokadyi, mój drogi, szepnęła cicho — staranie bardzo trudne.

Należysz do rodziny, nie potrzebuję nic kryć przed tobą. Leokadya od młodości ma stałe przywiązanie do człowieka, który ją kocha, a za którego ojciec wydać jej nie chce. Jest znękaną i niešťęśliwą, nie przystałaby ci rola narzuczonego męźa, innym zaś wątpię, byś mógł być.

Hrabia Otton słuchając spowaźniał i pobałł.
— Słuchaj mnie cierpliwie, ciągnęła dalej ciotka. Leokadya ulegnie ojcu, lecz czy ci przyniesie szczęście, a znaczny majątek czy ci wynagrodzi smutne poźycie? nie wiem... Jeśli prezes rachuje na mnie, że ja także zapiszę co mam drogiej Leokadii — myli się.

Otton milczał ciągle.

— Lecz — lecz — zdaje mi się, poczał namysłając się zwolna, że — wszakże spróbować zawsze można... Panna Leokadya znużoną jest i nieszczęśliwą, może też odstąpi od tego uczucia, które ją tyle cierpień kosztowało... Usposobienie zmienić się może...

— Będę z tobą jeszcze otwartzą, zawołała ciocia Benigna — nie narzucaj się Leokadyi, zamiast iść przebojem, pomóż nam do przełamania oporu prezesa, a przynajmniej nie pomagaj jemu do dręczenia córki — ja ci się za to wywdzięczę... Mam do rozporządzenia majątek. Miło mi będzie dać ci w nim udział — mówię jak krewna życzliwa, która twego szczęścia pragnie.

— Słuchaj, wiele długów ciąży na twojej wiosce, bo że musisz mieć długi, to ci z oczów czytam!

Otton się mimowoli rozśmiał.

— Wie pani co? półtorakroć sto tysięcy guldenów ledwie by może oczyściło z grzechów młodości.

— Bądź moim sprzymierzeńcem—przerwała ciocia Benigna — a ja ci twe długi odpłacę — daję słowo na to.

Otton uśmiechnął się, oczy mu błysnęły.

— Ale to by było szkaradnie! zawołał.

— Przyjąć od blizkiej krewnej legat, ofiarę!

— Sprzedać się!—podchwycił Otton.

— Gdzież znowu... ja cię indemnizuję dobrowolnie, za to żeś pocziwy i dobry i że mi ty do pocziwego i dobrego uczynku pomagać będziesz.

Mówiąc to ciocia Benigna wstała, wyciągnęła rękę, czekała zgody lub odmowy. Na twarzy hrabiego igrał uśmiech niezrozumiały.

— Kochana kuzynko—rzekł — czy mi będziesz łaskawą pomódz w moich interesach czy nie — jestem twoim. zrobię co każesz... Nie chciałbym za nic w świecie dodać najmniejszej kropelki do cierpienia tej biednej, miłej panny Leokadyi. — Na to starczy uczucie delikatności i obowiązku...

— Ale ja słowa nie cofam, półtora kroć sto tysięcy guldenów płacę... a o jedno cię proszę, bądź powolnym dla mnie i postępuj podług mojej wskazówki.

Otton pocałował ją w rękę. — Nadzieja oczyszczenia majątku bez związania się wiekuistemi ślubami, była dlań prawdziwym błogosławieństwem, widział się już w Wiedniu. gdzie nie trudno było o milionową dziedziczkę.

— Cóż mi pani każe — ? zapytał — jakie są na dziś dyspozycje?

— W niczem nie zmieniać postępowania i nie dać poznać po sobie, żeśmy tak otwarcie mówili... Uciekaj do prezesa i baw go... przysuwaj się nawet do Leokadyi... Resztę powiem ci później... Jutro dasz mi bliższą wiadomość gdzie i jak mam wypłacać. Tobie do rąk, kochany kawalerze. bałabym się dać pieniędzy... są one rzeczą nadto gwałtowne rodzącą pokusy.—Oczyścimy wioskę... to lepiej... Będiesz ją tracił drugi raz... powoli.

— A! nie. już jej nie stracę... rozśmiał się Otton i wybiegł uszczęśliwiony z pokoju.

Benigna uśmiechnęła się do siebie.

— Zobaczymy prezesie, kto tu z nas dwojga lepiej grać potrafi... i czyją będzie wybrana!

Dzień ten był prawdziwym tryumfem dla hrabiego Ottona; nigdy dowcipniejszym, miłszym się nie okazał, czulszym dla prezesa, bardziej dla pań uprzedzającym. Leokadę nawet potrafił nieco rozchmuryć, co ojca uszczęśliwiło.

Był więc najlepszej w świecie myśli i nie posądział nawet zdrady Benigny, która żartobliwie go spytała na stronie.

— Czy ten kuzynek nie ma czasem jakich zamiarów?...

— A —gdyby miał? chrząknął prezes.

— Żałowałabym go bardzo — bo koniec końcem albo by dostał odkosza, albo żonę, z którąby nie mógł być szczęśliwym,

— A zkądże to asińdzka wiesz?

— Tak! domyślał się — serce jej jest zajęte.

— Zawsze tym... tym amantem, co to umiera i zmartwychpowstaje.

— Bardzo być może.. sama się przekonywam, że to wielce prawdopodobne, choć Leokadya nikomu się nigdy nie zwierza.

— I dobrze robi, bo wie dobrze, że z tego nic nie będzie.

— A jeśli i z żadnego innego ożenienia także?... Chcesz, żeby zawiędła starą panną, bo już cię zmuszać jej nie będziesz?

— Ale ona ma rozum...

— W tych sprawach rządzi serce.

— Nie chcę tych głupstw babskich słuchać, rzekł rozniewany prezes.

— To nie mówmy o tem.

Ale prezes raz zaczepiony fermentował—popsuło mu to humor.

Drngiego dnia znaleźli się z hr. Ottonem na osobności.

— No... jakże tam? jakże? spytał stary — awansujesz?

— Nie umiem sobie sam z tego zdać sprawy — począł kuzyn — panna Leokadya jest dla mnie bardzo miłą i grzeczną, ale nadzwyczaj wydaje mi się smutną i jakby przerażoną, ile razy coś czulszego mówić zaczę.

— To ci się tak zdaje—mruczał ojciec.

— Nie wiem, lecz czyni na mnie wrażenie jakby... jakby—przyznam się panu prezesowi—jakby miała na sercu jakieś inne przywiązanie.

Prezes jak sprężyną dźwignięty porwał się z kanapy.

— Już ci może jaką plotkę przynieśli? zapytał chmurno.

— A! żadnej, bo któżby mi się ośmielił z czem podobnem wystąpić — odparł hr. Otton — lecz, żyło się, widziało i doświadczało wiele. Są instynkta...

— Które zwodzą — dorzucił ojciec. Każda dziewczyna nieufna w początku i przestraszona się wydaje.

— Jest to uwaga bardzo słuszna — potwierdził Otton — i cieszyłbym się, żeby mnie zawiodły moje przecznica, bo przyznam się pann prezesowi, że przeciwko woli i sercu kogoś zaślubić a nawet być zmuszonym walczyć z rywalem, który we wspomnieniach tylko króluje — nigdybym się nie ważył. Jest to przeciwko moim zasadom. Chciałbym zasłużyć na przywiązanie — jest to warunek niezbędny.

Koso spojrział nań prezes.

— Ale zkądże tu rywale? co za imaginacya... niktogo nie było i nie ma.

Począł chodzić po pokojn skłopotany widocznie.

— Staraj się tylko podobać — dodał — łatwo ci przyjdzie serce jej zdobyć. Masz po temu kwalifikacyą a przy tem nie zaniedbuj cioci Benigny. nie wzdragaj się być grzecznym dla Wychlińskiej — one na nią wpływ wielki mają. W dodatku Pstrokońska chce jej majątek zapisać, a i to coś warto.

— Nadewszystko serce panny Leokadyi — rzekł hr. Otton.

— No — zapewne, ale trzeba koło tego umieć chodzić; kochany kuzynek. choć praktykant pewnie, zbyt mi się jakoś wydajesz nieśmiałym, — one co obcowsowych lubią.

— A ja nim być nie umiem.

— Otóż to nieszczęściel westchnął prezes.

Znowu dni kilka upłynęło. Stary patrzył. milczał i pocieszał się; zdawało się, że starania hr. Ottona nie były bezowocne — Leokadya stawiała się śmielszą i weselszą.

Grając umyślnie w drugim pokoju w marysasz z O. Serafinem, aby młodzieży, jak mówił, nie przeszkadzać, stary wskazał palcem na salon, w którym się panie z hrabią znajdowały, i szepnął księdzu po cichu.—

— Bierze się...

— A jakże—odparł Ojciec Serafin. — ale jeżeli mu się nda, to acaństwu figla utnie...

— Co ci Ojczy? cóż takiego? zapytał zdumiony prezes.

— Juścić — począł ksiądz z cicha — jeżeli się ożeni?...

— O kimże myślisz?...

— Z tą, o którą się widocznie stara i idzie mu tak! no! Przyznam się prezesowi, że nigdy się nie spodziewałem, ażeby za mąż iść nawet myślała...

— Kto co? cóż ci się śni! zaperzony przerwał stary... Bałamucisz...

— Przecież widoczna rzecz, że się o panią Benigę stara hr. Otton... a ona mi się zda wcale nie od tego...

Nie ma najmniejszej wątpliwości...

Prezes osłupiał.

— To ci się chyba przyśniło...

— Ale ba! ale ba! rzekł Ojciec Serafin—asińdziej nie nie widzisz i jesteś simplex servus Dei; już taki podłysiały kawaler jakby miał szczęście szukać, to woli Borki niż Murawiec...

Stary aż kartami o stół ciskał...

— Gdyby mi się śmiać z tego nie chciało... to—to...

— Ja już nie mówię nic—proszę tylko prezesa, obsérwuj uważnie...

— Ależ to stara baba...

— Nie tak bardzo! On też nie młodzik; jeszczeby to tak strasznie w oczy bijącym nie było.

Prędzej niż zwykle grę ukończywszy, prezes wysunął się do salonu—uderzyło go to nieprzyjemnie, że znalazł istotnie hr. Ottona zamiast przy Leokadyi obok pani Benigny, na cichej poufalej rozmowie... Tłumaczył jednak sobie, iż Ojciec Serafin świata nie zna a kuzyn przypadkiem się tam znalazł. Na nieszczęście składało się tak ciągle, iż Otton znajdował się przy pani Pstrokońskiej. która widocznie bardzo nań była łaskawą.

— To głupi chłopiec, rzekł w duchu. jeśli tak zabiega o Borki; wprzódby się powinien o Leokadyi serce upewnić, bo nie przypuszczam, żeby o Pstrokońskiej myślał... to imaginacya...

Przy pierwszym spotkaniu z siostrą zagał sam prezes rozmowę o kuzynku... Ciocia Benigna szczerą była bardzo w pochwałach...

— Wiesz, rzekła — gdyby się mnie taki człowiek trafił — kto wie, czybym jeszcze za męża nie poszła...

— A! źle do kaduka! w duchu powiedział prezes... zły obrót rzeczy biorą... baba gotowa go zbałamucić...

Wziął na konfesaty Ottona, co też myśli o pani Benignie, i dowiedział się, że ją wcale nie znajduje starą, a nadzwyczaj miłą. przyznał się też do tego

szczególnego gustu, iż kobiety w pewnym wieku największe na nim czynią wrażenie.

Prezes nie umiał ukryć mocnego skłopotania.

— Piękna rzecz. rzekł do siebie — dopierobym się sobie przysłużył... i Leokadyi nie wydać i Borkiby przepadły! A to wszystko własnem swem staraniem i zabieглиwością.

Z wielkiego niepokoju — szepnął już Ojcu Serafinowi. —

— Jeżeli się babie w głowie poplątało. toć to wasz obowiązek zreflektować, żeby nedorzecznosci nie zrobiła... Do czego to podobne...

— Święty stan małżeński! odparł ksiądz. moja rzecz skłaniać doń nie odciągać.

— Ale gdzie sens? rzekł prezes.

Nie mogli się porozumieć. — Ojciec Serafin odszedł otrząsając się i dając do poznania, że się wcale do niczego mięszać nie chce.

Zniecierpliwiony stary kwaśną już nawet twarz hr. Ottonowi pokazywał, gdyż zdrada z jego strony prawie jawna goryczą go przepelniała... Do siostry też miał urazę niewypowiedzianą. Zamiast grać w maryasza. kładł pasjans przez pół dnia i zżymał się.

Wieczora jednego spotkali się z Benigną oko w oko, sam na sam. — prezes potrzebował się z nią rozmówić a nie śmiał zaczepić. Długo chodził po pokoju do koła ręką bijąc po wszystkich krzesłach i stolikach z kolei, nim stanął naprzeciw siostry i zagadnął. —

— Jakże tam z hr. Ottonem? widzę coś niespodzianego się święci? Przyznam się asindzce, że na

starość takiego szaleństwa po niej się nie spodziewałem

— Jakiego? zapytała siostra spokojnie.

— A cóż to ma znaczyć to bałamucenie młodszego od siebie człowieka?

— Bałamucenie? dla czegoż pan brat to tak zowiesz. A jeśli mi się podoba pójść za mąż? czy prawa nie mam? Był czas, kochany prezesie, gdy się tej myśli całkiem wyrzekła. kochałam Leokadyą jak własne dziecko, chciałam jej szczęścia, byłabym jej oddała wszystko. Dziś Leokadya pewnie za mąż nie pójdzie. szczęśliwą nie będzie, marzenia moje w niwecz obróciłeś — niechże sobie to wynagrodzę.

— Alboż ja szczęścia dziecka nie pragnę? zawołał prezes gniewnie.

— Być może, ale sobie to szczęście układasz tak, jak tobie nie jej się podoba. takiego ona nie przyjmie.

— Będzie musiała...

— Nie. mój bracie. ona albo za mąż pójdzie wedle serca lub nie wyjdzie wcale.

— A waćpani za hr. Ottona?

— Być może! być może! dodała Benigna — nie wypieram się, podobał mi się.

Gorzko począł się śmiać stary.

— To przedziwne! — zawołał — zwłaszcza że tu u mnie ta zmiana dekoracyi nastąpiła. Chłopak ma rozum. Borki więcej warte niż Murawiec.

— I kobieta przywiązana niż niechętna i przymuszona — dokończyła, wstając ciocia Benigna.

Na rozmowę tę ktoś nadszedł i prezes zamilkł... Rozbiły się wszystkie jego zamysły — smutny był i pogrążony w dumaniach. Jedną z przyczyn oporu córki

i stałości jej w uczuciu zdawał mu się pobyt pana Daniela w sąsiedztwie. Nie był pewien, czy ciotki nie ułatwiały stosunków, czy nie chodziły listy, czy nie odżywiono tego przywiązania jakimi potajemnymi schadzками. Droga z Murawca do miasteczka, którą ludzie dworscy codziennie po kilka razy za różnymi interesami przebywali, prowadziła do Orygowca, któż mógł zaręczyć, że listów nie wozili i nie oddawali odpowiedzi? Mająca zwierzchni nadzór nad gospodarstwem Wychlińska wysyłała stajennych i dysponowała nimi. Kręcili się oni nieustannie od jej pokoju do folwarku. Prezesowi szpiegostwo nie było łatwem, ale we dworze zawsze się znajdzie kim posłużyć.

Stary przyjął był niedawno ekonoma nowego, uniżonego pochlebcę, jacy się rzadko trafiają, na niego rzucił okiem, chcąc swe podejrzenia sprawdzić. Upokarzało go tylko, że się musiał do takich środków uciekać, ale miłość rodzicielska tłumaczyła go i rozgrzeszała. Długo się z sobą pasował, naostatek nie radząc nikogo, kazał ekonoma Szajkowskiego zawołać. Szajkowski był typem oficjalistów, którzy za prawidło sobie mają, słabości pańskie wypotrzebowywać. Wiedział on, że ten rodzaj kontraktu z panem największą bezkarność zapewnia i szukał tylko zręczności, ażeby jaśnie wielmożnemu do humoru jego usłużyć. Pokora, służbistość, uległość, przewidywanie myśli były dlań narzędziami do zjednania zaufania, a to posłużyć miało do zapewnienia sobie osobistych korzyści. Prezes mało go jeszcze wypróbowywał, ale był pewnym, że im niezwyčaj-

niejsze rzeczy zażąda, tem ona pilniej będzie spełniała.

Szajkowski stał u drzwi w postawie żołnierza. wyprostowany, głowa do góry, ręce spuszczone.

— Co jaśnie pan każe?

— Słuchaj waćpan.... delikatnej zażądam posługi

— ale mam w nim ufność.

— Jaśnie pan może być pewnym, że nie zawiodę.

Zbliżył się do niego prezes, biorąc go za guzik od sukni.

— Rzec jest taka.... Mam powody posądzania dworskich ludzi, że niepotrzebne kartki, świstki, korespondencye babskie do... do Orygowiec i z Orygowiec tu wożą.

— To — może być — szepnął Szajkowski. wszelako ja o tem nic nie wiem.

— Życzyłbym sobie jedno z takich pism mieć w ręku!

— Będziemy się starali... ale jak! jak! zamruczał Szajkowski. Przytem jaśnie pan. jeśli by się przez to przyszło komu narazić i zrobić sobie nieprzyjaciół. sługę swego zechce mieć na względzie.

Prezes poklepał go po ramieniu.

— To się rozumie, ale trzeba mi złapać, trzeba przejąć.

— Postaramy się — rzekł Szajkowski, tylko to może zabierze czasu.

— Będę cierpliwy — ale sza!!

Palec na ustach położył.

— A już to wiadomo, szepnął ekonom, do kolan się skłonił i wyszedł szybko.

Uspokoilo nieco prezesa to, że coś przeciwko spiskującym przedsięwziął, wyszedł do pokojów z trochę lepszą miną, a że znowu znalazł hr. Ottona przy pani Benignie, trochę z nich żartować sobie zaczął...

Wieczorem wziął wprost już gościa na spytki. — Asindziej panie hrabio, więcej widzę bierzesz się coś do starszych niż do młodej.

— Od panny Leokadyi tak wyraźne odbieram oznaki obojętności a nawet niechęci, ile razy jestem natarczywszym nieco, że z największym bólem — muszę się cofnąć i wyrzec wszelkiej nadziei — odezwał się Otton wzdychając.

— Tak dalece! mruknął prezes — cóż? zmieniasz cel widzę...

— Być może...

— Wiesz, ile ona ma lat?

— A! panie prezesie dobrodzieju! najfałszywszą w świecie rzeczą są metryki, lata na papierze nic a nic nie dowodzą — twarz najlepszą metryką. Co mi tam!

Prezes zmilczał, lecz od tej chwili ostygł już zupełnie dla hr. Ottona a w duszy uważał go za coś nakształt zdrajcy.

Kilka dni Szajkowski nie ukazywał się wcale... i nie donosił o niczem; wtem, gdy już stary i jego niedołęgą miał ochrzcić, wpadł jednego rana impetycznie ekonom. obejrzał się po pokoju i dał znak prezesowi, który do drzwi przybiegł prawie.

— A co?

— Jest jasnie panie...

— Co?...

— List, jasnie panie....

— Z Orygowiec?

— Nie — do Orygowiec pisany... Miałem oko na Kuźmę, bo zawsze od niego kminkówkę było słyhać... Gdy wychodził od pani Wychlińskiej i zabierał się w stajni konia kulbaczyć. napadłem, zamknąłem go w masztarni, kazałem się rozebrać do koszuli... List był za pazuchą...

Ale to, proszę jasnie pana, nie koniec, chłopiec taki zuchwały, że się do mnie porwał, chcąc mi go odebrać, i ja sam, proszę jasnie pana, musiałem się z nim borykać. Musi też być ukaranym przykładnie.

Prezes rękę wyciągał po list, który Szajkowski mu wręczył... ani już chciał słuchać, co mówił dalej, poklepał go po ramieniu. — Weź waćpan sobie klacz gniadą księdzównę z łoszczciem... Toż mówiąc — odprawił go a drzwi zaryglował. Ręka mu się trzęsła... cisnął w niej dowód jawny tego, czego się dotąd tylko domyślał... lecz zarazem czuł upokorzony, że się dopuścił czynu, który w każdym innym samby popełnił.

Spojrzał na kopertę — adresowaną była ręką pani Wychlińskiej do pana Daniela.

— Teraz mi się nie zaprą — rzekł wzruszony, teraz mogę im dowieść, czarno na białem spisku przeciwko mnie i wyraźnej woli mojej.

... Oczy mu błyskały...

... Ktoś do drzwi mocno pukać zaczął, a choć odpowiedzi nie otrzymał, nie ustawał się dobijać. — Prezes szybko schował list za surdut, który zapiał... i poszedł ku drzwiom. — przybyłym był Ojciec Serafin

Przychodził bardzo w porę. gdyż właśnie rodziła się w sumieniu starego wątpliwość, czy ma prawo list do obcej osoby zaadresowany, choćby od siostry — otworzyć?

— Cóż to prezes się tak zamknął?...

— To się przypadkiem zatrzęsnęło.

Popatrzała sobie w oczy... O. Serafin głową potrząsł.

— Czytałem głupie jakieś romansidło, odezwał się stary... Co też to oni teraz wymyślają... jakie figury! jakie intrygi... Jak oni tam te nasze stare czasy, których nie znają — oporządzają po swojemu!

— A to prawda — odezwał się O. Serafin — nie dawno mi ktoś opowiadał, że czytał w książce jakąś historią o starym jakoby Polaku, który dla jakiegoś podejrzenia czy coś list przejęty, do obcej osoby pisany rozpieczętował i czytał! Gdzieżby to, proszę prezesa. co podobnego za dawnych czasów trafić się mogło! żeby człek poważny tajemnicę pieczęci dla ciekawości złamać się odważył...

Prezes aż poskoczył — lecz pochamował się zaraz, popatrzał w oczy księdzu. który nic po sobie nie dawał poznać — przeszedł się dla uspokojenia po pokoju i usiadł — O. Serafin zaproponował maryasza, grali w milczeniu...

Mógł prezes wprawdzie, nie rozpieczętowując koperty, samem ukazaniem listu przekonać baby, jak je zwał, o popełnionej przez nie zbrodni, potajemnych stosunkach z dworem Orygowieckim — a jednak chciało mu się wiedzieć coś więcej nad to. Po odejściu Ojca Serafina począł z sumieniem wchodzić w układy, czyby, jako ojciec i głowa domu, z prawa

patryarchalnego, przysługującego naczelnikowi rodziny, nie mógł być rozgrzeszonym, gdyby nawet list pochwycony — przeczytał? — Zdawało mu się, iż nie tylko ma prawo, ale nawet obowiązek, a jednak wahał się długo. Dano do stołu; kazał powiedzieć, że się czuje nie zdrów i że w swoim pokoju jeść będzie. Jadł więc sam a raczej nie ruszył prawie co mu podawano — tak go piekł ten papier, który trzymał na piersiach, nie mając ani odwagi go wrzucić w komin, ani rozpieczętować. Pokilkakroć patrzył na adres, na którym stało imię pana Daniela. Już, już zabierał się do złamania pieczęci i chował znowu zamysłony ten nieszczęsny dowód buntu przeciw jego rozkazom.

Sumienie, gdy człowiek wytacza mu bój, najczęściej zwyciężyć się daje; przychodzą w pomoc sofizmata. Tu powaga ojcowska szczególnie nieodbić się dopominała zupełnej wiedzy potajemnego spisku. Prezes zamknął drzwi, drżącą się ręką przezegnął i pieczęć złamał z gwałtownością świadczącą, że jeszcze z sobą walczył, że to czynił namiętnie i przeciw przekonaniu. Z koperty wypadł list — już nie ręką Wychlińskiej pisany, ale znanym mu charakterem Leokadyi. Zburzył go ten widok. Któż wiel, gdyby był wiedział o tem, możeby nie zaglądał do środka. Strach go ogarnął na widok pisma, które mu może przepaść jaką czarną pod stopami odsłonić miało. Pot wystąpił na skronie. ręce drgały jak w febrze, oczy zasłaniała mgła, musiał spocząć chwilę, ochłodzić się szklanką wody, zebrać całą odwagę, nim zasiadł do czytania — podstępem pochwyconych zwierzeń.

List był na czterech stronnicach bitym charakterem drobno pisany. Nie było więc wątpliwości, iż stosunek, którego istnienie odgadywał, trwał i musiał już być dawnym, gdy pismo przybiera takie rozmiary...

Prezes uczuł od łez zwilżające się powieki. Walka, którą rozpoczął z własnem dziecięciem, była cięższą, trudniejszą niż sądził — zwątpił o siebie. Długo obracał ten papier zasypany literami, długo jeszcze nie miał odwagi rozpocząć czytania, wreszcie z goryczą niewypowiedzianą w sercu — zaczął. List, z którego dajemy wyjątki, następującej był treści:

„Mój drogi Danielu. Siadam do ciebie pisać w nocy, jak zwykle, we dnie obawiałabym się być pochwyconą na tej zbrodni. Z mojego okna widzę zdaleka, zdaleka twój dwór w Orygowcach a w nim światelko — i wyobrażam sobie, że ty tam może siedzisz nad listem do mnie. Lecz cóż ja ci ztąd napiszę i doniosę, o czembyś nie wiedział, czegobyś nie odgadł?

Miłość ta nasza biedna trwa już lat tyle, przetrwała tak wiele — straciła nadzieję — a serca się nasze nauczyły bić jednakowo, stale, spokojnie, nie mając innej przyszłości nad tę myśl, że sobie zawsze, do końca wierne zostaną. Nie potrzebujemy powtarzać przyrzeczeń wytrwania, wierzym w siebie. Ja wiem, że ty mi zostaniesz wiernym, tyś pewien, że ja cię nie zdradzę. — Dożyjemy więc dni nam przeznaczonych rozdzieleni a jednak połączeni myślami, tęsknotą, bólem wspólnym...

Tu u nas żadnej zmiany, ta chyba, że hr. Otton z łaski cioci Benigny, jak mi się zdaje, już mi się nie naprzykrza i nie stara podobać. Być bardzo może, iż ten rodzaj miłych ludzi czyni wrażenie na pewnego rodzaju kobietach i sercach, dla mnie jest to najnieznośniejszy trzpiot, jakiego sobie wyobrazić można. — Nie chcę go jednak obgadywać, bo serce ma dobre i nie męczył mnie swem staraniem, jakby niestety! mógł, mając tak wysoką protekcyą. Ojciec niechybnie byłby za nim, choćby dla tego, ażeby raz widzieć mnie już zameżną — i — szczęśliwą. Ty, jak ja — nie obwiniasz mojego ojca — oboje cierpiemy przez niego, a nie chciałbym, abyś w sercu miał doń żal — dla miłości mojej przebaczyć mu powinienes. To, co czyni, spełnia przez przywiązanie do mnie, do starych zwyczajów i tradycyi, z pobudek, które na poszanowanie zasługują. Jestem męczennicą a nigdym się nań nie oburzała. Była chwila, żem chciała ukradkiem sięgnąć po szczęście potajemnie... tak, aby ono jego spokoju nie zamąciło — los nie chciał — rozwiało się wszystko. Jam nigdy też ani się śmiała spodziewać, ażeby się to powiodło — ani roić, że to możliwe. Szłam z większą obawą niż nadzieją. Smutneż te nadzieje nasze! Ten wysiłek twój, który cię tyle kosztował zabiegów i trosk, zamiast nam dać skosztować szczęścia, pozbawił nas tego nawet niewinnego, jakiegośmy dawniej kosztowali. A! czemuż nie usłuchał mnie, czemuśmy nie cierpieli spokojnie. Jakie to były szczęśliwe czasy w porównaniu do dzisiejszych! Tobie wolno było przyjechać — mnie rzucić wejrzenie, przemówić słowo a ta biedna

miłość nasza żebracza nawykła żyć jednym niczem, tak była sytą temi okruszynami. Dziś pokuta, samotność, cisza... łzy... Ale nie trwóż się — jestem spokojna i tyś mnie naśladować powinien... Mam dwie tu dusze i serca dwa, które mi moją dolę słodzą... patrzę w przyszłość z odwagą stoicką przeżyvia jeszcze długich lat... z tem samem uczuciem, które już drugim przyświecało....“

Prezes, który poczynął czytać z gniewem, w miarę jak mozolnie szedł dalej — czuł się zmiękczo^{ny}ym, rozrzuwnionym prawie, serce mu biło. Wyrwało mu się parę razy z ust: — Biedne dziecko! biedne dziecko! Czytał tak z końca w koniec cały długi półarkusz, tak tęskny jak początek, a dokończywszy. położył pismo na stole i zamyślił się.

Miał łzy w oczach... ocierał je długo.

List, który miał służyć za podstawę sprawy o zdradę, który mu miał dać broń przeciwko własnemu dziecięciu, zamiast gniew pomnożyć — nie wiedzieć, jakim dziwnym sposobem go rozbroił. Stary nie poznawał sam siebie. Smutek go ogarnął.

Na ścianie wisiał portret nieboszczki jego żony, którą kochał czule. oczy jego padły nań i wzdręgnął się ze strachu jakiegoś, czytając w nich jakby wyrzut za te męczarnie, które dziecięciu zadawał.

Siadł i zaczął się modlić i płakał. Złamany był a nie pewien, co pocznie. Ta rezygnacya ostygła. która wiała z listu Leokadyi. była dlań przykrzejszym wyrzutem niż narzekanie.

Córka go rozumiała... przebaczała mu, on dziecięcia ani zrozumieć ani mu umiał przebaczyć. Zamęczył ją żelazną wolą swą, uporem.

Oczy żony z drugiego świata zdawały się go pytać — coś zrobił z mojem dziećciem?

Ludzie takiego jak prezes charakteru, nawet gdy staną już u krańca, o który albo się rozbić lub zawrócić od niego muszą — nie łatwo zmieniają drogę i ulegają wrażenin. Sercu też swemu prezes nie chciał być posłusznym, głośniejsz nad nie mówiły głosy przebierające się za natchnienia obowiązku i prawdy. — Przed sobą był wy tłumaczonym... ale i córka była uniewiniona tą miłością długą, stałą, cichą i zrezygnowaną...

Prezes był w niezgodzie sam z sobą. Już mrok padał dobry, gdy się namyslił wyjść do salonu. List zamknął na klucz do biurka, ubrał się, ochłoniął i powolnym krokiem skierował ku pokojom.

Wszystkie panie zabawiał nieszczęśliwy hr. Ottou z pomocą kapitana Złomskiego, który tu pani Benignie towarzyszył, i O. Serafin, na którego twarzy smutek znać było... Ciocia Wychlińska i Leokadya siedziały milczące, blade, widocznie cierpiące i trwożne, a gdy krok prezesa dał się słyszeć w przedpokoju, umilkli wszyscy i zdawali się z niepokojem oczekiwać przyjścia jego. —

Oczy wszystkie skierowały się ku niemu, lecz, choć stary nie nawykły był do tajenia swych nczuć i wrażeń, tym razem wydał się nadto uspokojonym i łagodnym...

Wychlińska i Leokadya wiedziały już o pochwyceniu listu, z ich to natchnienia O. Serafin poszedł przypomnieć prezesowi obowiązek poszanowania tajemnicy pieczęci.

Można miarkować, w jakim strachu przepędziły dzień cały. mierząc gniew ojca tem, że on sam, czując go za gwałtownym, pokazać się i wyjść nie śmiał. — Ci, co znali starego, nie mogli się wydziwić mocy nad sobą, jaką się pohamować potrafił — i przypisywali to obecności hr. Ottona, która ich od wybuchu ocaliła...

Gdy wszedł, zamilkli wszyscy, tylko ciotka Benigna miała odwagę zapytać go o zdrowie.

— Jest mi lepiej pod wieczór — rzekł chłodno i jakby roztargniony przechadzać się zaczął.

— Czy do tego stopnia lepiej, że pan prezes zechce grać w maryasza? spytał O. Serafin.

— Dla czegoż nie? dla czego nie?

Otton ofiarował się do puli, aby mieć zręczność starego rozbawić.

— A! nie! nie, po co ta ofiara — hrabia się znużysz, a my z księdzem we dwóch zabawimy się, bośmy do siebie nawykli.

Ksiądz badał twarz bladą i zmienioną prezesa, który odgadł, oco go oczy przyjaciela pytają i szepnął mu na ucho —

— Bóg zapłać za dobrą radę. — Spaliłem nie zagładając...

Serafin porwał się z siedzenia i pocałował go w ramię. Maryasz zaczął się pod wróżbą wesółą. Wszystko to niepojętem było dla cioci Wychlińskiej, dla Leokadyi nawet, że nie dowierzając obie spoglądały ciągle z trwogą na prezesa... i obawiały się, aby tego pozornego spokoju za lada przyczyną nie przerwała straszliwa burza. Wzrastało to uczucie szczególnie, gdy się zbliżyła pora rozejścia, bo im

się zdawało. że prezes. obcych a nawet ciotki Benigny się pozbywszy — dopiero z całym gniewem niehamowanym wypadnie na biedne ofiary... Nieznacznie więc umówiono się tak, ażeby właśnie hr. Otton i pani Pstrokońska w salonie zostali ostatni... Wychlińska bojaźliwa, ucieklszy do pokoju swego, sąsiadującego z mieszkaniem Leokadyi, całą drżącą modliła się i płakała — Leokadya chodziła z usty zaciśniętymi... układając, co ojcu odpowie.

Tymczasem maryasz się skończył. Prezes pożartował z Benigny i hr. Ottona, powiedział dobranoc i poszedł do siebie...

Doniesiono zaraz o tem kobietom. odetchnęły wprawdzie — lecz nie mogły przypuścić, ażeby się to tak skończyło. — Całą pociechą było, że gniew będzie miał czas nieco ochłonąć i złagodnieć, że pierwsze wrażenie się zatrze.

— Trzeba przyznać bratu — ozwała się Benigna, że mocy ma więcej nad sobą. niżby się po nim kto spodziewał... a ojciec Serafin powiada, że list spalił nie czytając...

— Leokadya ocalona! bijąc w ręce zawołała Wychlińska — a! to już wszystko dobrze, mnie niech sobie czy wybije, czy wypędzi, jak mu się podoba!!

Ciotki się z radości popłakały, poniosły nowinę do Leokadyi i uspokoiłyby ją, gdyby ona tem zaspokoić się dała, że ktoś inny cierpieć będzie za nią...

Tak ten dzień pamiętny się skończył.

Jutro nadeszło z twarzą dni powszednich, nie przynosząc z sobą najmniejszej zmiany, oprócz że przywiązany do domu i rodziny ksiądz zdawał się

tego dnia więcej kochać starego przyjaciela niż kiedykolwiek. Benigna też umiała ocenić jego umiarkowanie i zwycięztwo nad sobą tak dalece, iż pierwszy raz od czasu, jak była w Murawcu. przyszła zrana dowiedzieć się o zdrowie brata...

Zastała go nad jakimiś rachunkami. ale zdającego się trzymać je tylko dla ceremonii przed sobą a zadumanego i patrzącego w okno.

— Cóż, czy ci już dziś lepiej... spytała od proga.

— Lepiej mi i nie lepiej, bo się osłabionym i zmęczonym czuję — westchnął prezes. Na moje lata, kochana siostró. ciężkie to zadanie we własnym domu mieć bój i trzymać straż nieustanną. To czasem już siły przechodzi. A przytem, jak widzisz, nic mi się nie udaje, wszystkie się szyki łamią i, kiedy też już stara wdowa jak ty na przekór mnie gotowa się dać zbałamucić...

Tęskny wyraz tych słów nie dozwolił Benignie przedłużać dość dziwacznie osnutej komedyi — ruszyła ramionami, siadając na przeciw brata.

— Czy Otton zrobi głupstwo to, że się ze starą dla pieniędzy ożeni — czy nie, — zawsze Leokadyi byś za niego nie wydał, bo się gwałtem ożenić i narzucać nie chce, a ona aż nadto jawnie okazuje. że go sobie nie życzy.

— A no. przecież raz tedy za męża kiedys wyjść musi...

— Musi? nie — rzekła Benigna — zostanie starą panną jak wiele innych...

— A to już chyba z winy asindzki, rzekł prezes z przekąsem. Jakże też, żeby osoba tak zabiegliwa,

tak rozumna, tak ją kochająca, nie znalazła sposobu nawet mimo woli ojca ją wyswatać?

— Przyznam ci się, kochany bracie, że, gdy mnie tak wyzywasz, że gdybym mogła...

— Ale nawet spróbować nie chcesz? rzekł prezes żartobliwie—a tak jednak wieleś sobie tuszyła.. tak się zbierała jak czajka za morze — i — z tego wszystkiego — nic. — A to przez jednego starego npartego nudziarza, jakim ja jestem.

Ciotka Benigna słuchała go z uwagą niezmierną i podziwieniem...

— Chcesz mnie widocznie rozdrażnić — odezwała się.

— Ale szydę z asindzki najwyraźniej, kończył stary. Słyszana to rzecz, ażeby trzy kobiety w spisku razem z bardzo przebiegłym mężczyzną nie mogły pokonać jednego ociężałego starowiny! A toć wstyd i hańbę całemu rodzajowi swemu czynicie..

Benigna spojrzała mu w oczy, pomimo szyderstwa. z jakim się wyrażał — gniewu nie było na jego twarzy.

Nie mogła go zrozumieć.

— Wyraźnie mnie — bo wyzywasz.... szepnęła cicho.

— Któż wie—dodał zniżając głos brat, możebym już rad—ażeby się to jakokolwiek skończyło...

Jeszcze bardziej zadumiona — Benigna zawołała —

— Przecież to od ciebie zależy!

— Jak odemnie? mruczał niewyraźnie Prezes, przewracając karty w rejestrze.

Wy kobiety. czasem takie domyślne, niekiedy nie chcecie chyba ludzi odgadywać. Moja dobrodziejo—człowiek, który słowo da—rozumiesz asindźka—dotrzymać go musi...

Czasem się później danego żałuje i — niekiedy by się ktoś rad zawrócić, nie ma sposobu. — Słowo się rzekło, słowo rzecz święta...

Rumieniec okrył pulchną i krągłą twarz Benigny—poruszyła się żywo z krzesła...

— Ja ciebie może nie dobrze rozumiem. Ale mogłoby to być — ażebyś ty...

— Ja? co? o co się asindźka chcesz mnie pytać? Ja na nic nie odpowiadam... ja — rozumiesz mnie, o niczem wiedzieć nie chcę.

— A gdyby się co przeciwko twojej woli stało... tobyś... się gniewał... i...

— Zapewne, że gniewałbym się... ale nie mniej coby się stało, toby się stało... Trudno rzeczy spełnione zmienić... mówił cicho prezes... Asindźka taka rozumna... a zrozumieć nie możesz, że... ja... że... to... że tego... a ja o niczem nie wiem!!

Siostra rzuciła mu się na szyję.

— Nie omyliły mnie uszy? bracie...

— Co? co? ja nic nę mówiłem!! Ja się dziwuję tylko i śmieję się, że wy tak odważne, przyprowadzone do rozpacz, środków sobie znaleźć nie umiecie... Trzy baby i Bernardyn... dalipan wstyd i hańba!!!

Benigna chciała jeszcze go o coś spytać — prezes rękami strzepnął...

— Ja nic nie wiem, ja o niczem wiedzieć nie mogę i nie chcę, ale gdybyście mnie oszukały, zawiodły..

i coś okropnego zmalowały... wiesz asindzka... (szepnął cichuteńko) możebym się już i nie gniewał—tylko dla oka...

Benigna uściskała go jeszcze raz... i jak strzała biegła ku drzwiom—prezes ją powstrzymał w pędzie.

— Stój! na Boga żywego—zawołał—proszę pamiętać, że asindzka bierzesz wszystko na swój własny koncept. odpowiedzialność—rozum, zręczność... a ja... o bożym świecie nie wiem... nie wiem!! ja nie wiem!

I rzucił się na sofę. osłaniając twarz rękami.

Pędem wybiegłszy z pokoju brata, nie ochłonęła ciotka Benigna, aż gdy się znalazła w swoim mieszkaniu.

Ta nagła zmiana w usposobieniach ojca, sprowadzona właśnie tem, co położenie pogorszyć miało. ten zwrot. jaki tylko Opatrzność czasem, na przekór rachubom ludzkim. umie nadawać rzeczom, wprawił ją w rodzaj eksaltacyi, z którą musiała wprzód przyjąć do równowagi, aby tajemnicy braterskiej nie zdradzić.

Wypiła karafkę wody, wybiegała się po pokoju... oblała kolońskim spirytusem... powąchała soli trzeźwiących i, nie rychło uspokojona, poszła wolnym krokiem do pokoju Leokadyi. Znalazła ją, jak zwykle siedzącą przy robocie u tego okna, z którego daleko, daleko widać było część białej ściany i dach orygo-wieckiego dworu.

— Wiesz, moja droga. że wy z p. Danielem przypominacie mi — rzekła na pół żartobliwie, na pół poważnie — Heloizę i Abelarda... patrzycie na siebie z daleka... całe lata... i starzejecie w tej tęsknocie..

— Moja ciociu — a kiedy inaczej być nie może...
Słodko choć spojrzeć w tę stronę.

— Nie macie odwagi i determinacyi — odezwała się pani Pstrokońska... A ja ci powiadam, że gdybyście się raz pobrali... bez wiedzy ojca... ja wam ręczę, że dałby się przebłagać.

— Nigdy! nigdy! zawołała Leokadya.

— A jeżeli ja mówię — że za to ręczę? spytała ciotka. Długo myślałam nad tem, wielom razy z nim mówiłam... i widzisz, że oto po raz pierwszy ci ogłaszam, że ja to zrobię, iż wam przebaczy...

Cała zarumiemiona porwała się Leokadya od krosienek.

— Słowa cioci mimowolnie poruszyły mnie, rzekła — lecz pewną jestem, iż dobre serce wasze myli was. Ja tyle lat żyję z ojcem, znam go tak dobrze, tyle razy z jego ust słyszałam wyrok... A! ciociu droga... to rzecz nie możliwa... a odepchnięciem od ojca, jego przekleństwem ani on ani ja nie chcemy szczęścia kupować...

— Moja Leokadyo — spokojnie ręce na piersiach zakładając poczęła ciotka, czy mnie masz za tak płochą, że jabym, nie będąc pewną tego, co mówię, śmiała ci zaręczać?

— Chybaby — odezwała się Leokadya — zaszła w usposobieniach ojca nagła, niczem nie usprawiedliwiona zmiana, ale tej nie tylko nie ma — być ona nie może... Owszem w ostatnich czasach był niecierpliwszym, podejrzliwszym niż kiedykolwiek. Dowodzi to historia listu tego, której nieszczęśliwym następstwom tylko cudem mógł O. Serafin zapobiedz!!

Jakże ciocia może przypuszczać?

— Nie tylko przypuszczam, ale rękę — powtórzyła spokojnie bardzo — ciotka Benigna.

— To przechodzi moje pojęcie, załamując ręce zawołała Leokadya.

— Powiem ci, że ja sama nie mało jestem zdziwiona tem, iż powiedzieć ci to mogę, ale jeszcze raz sumiennie powtarzam. — ja biorę na siebie przebłaganie ojca...

Uderzona tem naleganiem, Leokadya stała jak osłupiona, potarła dłońmi białemi czoło...

— Ciociu, rzekła — to mi się śni chyba! a! nie! nie! to być nigdy nie może... Mnie i jemu zabrakłoby odwagi postawić na kartę wszystko...

— Nie na kartę, na słowo starej, poważnej, kochającej cię ciotki, moje drogie dziecię... mówiła Benigna.

Leokadya przyklękła przed nią, osunęła się na ziemię, objęła jej kolana... przytuliła się do niej.

— Czyżby to mogło być?... on. by się zlitował? n, by mi przebaczył?

— Jakże ja ci więcej powiedzieć mogę. jak poprzyśiądz? Nie ważyłabym przecież szczęścia waszego na niepewne losy. Nie jestem płocha, nie znasz mnie lekkomyślną, wczoraj jeszcze nie radziłabym ci tego kroku, a dziś — do niego będę przynaglała.

Zdumienie ogarnęło Leokadyę; długo niedowierzająca, dała się wreszcie przekonać, lecz wzruszenie gwałtowne odebrało jej siły, była na pół omdlałą, tak że Benigna musiała zawołać w pomoc Wychlińskiej i we dwie posadziły ją na kanapie.

Pocziwa Wychlińska sądząc, że jakie nowe strapienie, może skutkiem tego nieszczęśliwego listu, i nieostrożne wygadanie się Benigny spowodowało omdlenie, zaczęła siostrę wypędzać i gniewać się na nią. Dopiero dostrzeżony na ustach Leokadyi i Benigny uśmiech przekonał, że się omyliła.

— Ale cóż to się wam stało? zapytała.

— To moja tajemnica—odparła Benigna— o której ty nawet wiedzieć nie możesz; powiem ci tylko, że złego nie ma nic, a dobrego nawet coś być może.

Na obiad nie wyszła Leokadya... dwie ciotki tylko na pytanie ojca odpowiedziały, że była trochę słabą i że ból głowy przyjsć jej nie dozwolił.

Prezes nie rozpytywał więcej.

Tego dnia też hr. Otton po dosyć długim pobycie, zapowiadając powrót swój do Murawca, wybierał się do Galicyi.

Prezes nic a nic go nie wstrzymywał. — jednakże jakby czuł, że mu uczynił zawód i że go tu na próżno ściągnął, obdarzył, jak umiał, najspaniałej w kosztowną broń starą i rozmaite piękne cacka, które hr. Otton lubił bardzo.

Rozstali się przyjaźnie i grzecznie a czulej jeszcze z panią Benigną, która słowa swojego dotrzymując, postarała się zaraz o zaspokojenie długów kuzynka.

O owem staraniu się i pozornych konkurach teraz już wcale mowy nie było. Prezes mógł łatwo poznać, że wszystko to tylko jako broń przeciw niemu wymierzonom było.

— Mój księżu — rzekł do O. Serafina przy codziennym maryaszu—szczęśliwy jesteś, że nic do czynienia

z babami nie masz; wojna z niemi trudna a pokój niebezpieczny. Póki to młode, człowiek ślepy i nie widzi. że sobie biedę choduje, jak podrośnie, już ręka w czuprynie, a gdy postarzeje — bywaj zdrow, choćbyś się panem wydawał, niewolnikiem ich być musisz... Takie to nasze przeznaczenie!

Westchnął ciężko stary, a O. Serafin zadał w tej chwili ze czterdziestu i uwaga od drażliwej kwestyi odwiecznej odwróconą została.

Sanna po nowym roku ustaliła się wyborna, zima była piękna, pogodna a nie ostra; myśliwi dawno już podobnej nie pamiętali. Ciocia Benigna wcale niespodzianie raz przy obiedzie rzuciła tę myśl, iżby się chętnie przejechała do Warszawy, gdyby prezes Leokadyi też dla rozerwania się towarzyszyć jej dozwolił. Z początku stary się trochę opierał, jakby tylko dla tego, ażeby się zbyt nie okazać powolnym; lecz gdy obie ciocie nalegać zaczęły, pół żartem pół serjo przystał na tę podróż.

— Znowu tedy sam na sam z O. Serafinem rekolekcye odbywać będę zmuszony — rzekł — gdy waćpanie tam zapustować będziecie.

Jak tylko zezwolenie otrzymały, wybrały się pannie niezmiernie śpiesznie i trzeciego dnia zrana już prezes żegnał je w ganku, ponawiając zalecenie, ażeby co najrychlej powracały.

Leokadya osobno przyszła go pożegnać w jego pokoju i, czule całując ręce starca, ukłękła przed nim jakby żądając błogosławieństwa, rozplakała się nawet. Prezes milczący uścisnął ją za głowę i krzyżykiem przeżegnał.

— Tak jesteś nerwowa, moja droga — odezwał się sam widocznie wzruszony — lada co cię do łez pobudza. Jedźcie i powracajcie co najrychlej. Niech Bóg drodze tej i całej drodze żywota twego błogosławi.

I raz jeszcze uściskawszy ją, otarł oczy stary, bo i jemu łzy jakoś przyszły do powiek. Łzy są zaraźliwe. Dzień ten po odjeździe, gdy dom po ożywieniu przez gości stał się nagle pustką milczącą—wydał się długim i nudnym. Prezes od okna do okna chodził i wzdychał. Szary mrok już padał, a świec jeszcze nie przyniesiono, gdy szybkimi krokami do drzwi pańskiego pokoju zbliżył się Szajkowski i zadyszany stanął w progu ze zwykłym pobożnem powitaniem.

— A cóż tam! zapytał prezes, pewnie mi o omłocie pszenicy przynosisz wiadomość?

— Tu—proszę jaśnie pana — inna tego zaszła okoliczność, jak mi się zdaje. bardzo ważna, odezwał się dworak.

— Hm? cóż takiego? przystępując bliżej począł prezes—co złego!

— Poczuję się do obowiązku donieść o tem jaśnie panu, chociaż to nie należy może do mnie, ale przez tę życzliwość i przywiązanie do całego domu jaśnie państwa i z troskliwości. aby później!..

Splątał się trochę, chrząknął Szajkowski i nie dokończył. — Prezes podchwycił. — Ale cóż takiego? ad rem! —

Szajkowski uznał za właściwe, acz z oznakami wielkiego uszanowania zbliżyć się o parę kroków do prezesa.

— Proszę jaśnie pana—przypadek zrządził, że, gdy panie ztąd wyjeżdżały na Orygowce do miasteczka na

trakt w..., ja właśnie powracałem z tamtąd, bom jeździł do Arona pomówić względem dostawy do Uściługa. Otóż, proszę jaśnie pana, zdaje się, że w miasteczku przyłączył się do pań pan Daniel Tremmer z Orygowiec i albo za nimi pojechał...

Prezes z gniewem przerwał —

— Co acan pleciesz! to nie może być! to się przywidziało.

— Ale mogę panu prezesowi zaręczyć słowem.

— Dajże mi pokój... Może się przypadkiem z nimi skrzyżował w drodze, toć nikomu po gościńcu jeździć zabronić nie można... To dzieciństwo.

— Jednakże gdyby...

— Co mi tam! co mi tam!... Kobiety wiedzą, jak się natrętowi opędzić. Jest tam pani Pstrokońska, która na siebie za tę podróż wszelką odpowiedzialność wzięła. Dać pokój i nie rozgadywać. Słyszysz wacpan!

Szajkowski, który był pewien, że się więcej jeszcze w łaski wkupi tem doniesieniem, zamilkł pomieszany i skonfundowany niezmiernie a nie rad z siebie.

Szczęściem prezes jakby tę okoliczność chciał co najrychlej zapomnieć, zapytał zaraz o wydatek pszenicy i o transporta, zagadał o gospodarstwie, dając do zrozumienia zbyt gorliwemu słudze, ażeby do tego przedmiotu więcej nie powracał.

Pomieszany Szajkowski nie mógł sobie darować, iż się tak fatalnie omylił i wyniósł się zgryziony, nie mogąc zrozumieć, dla czego tak ważne doniesienie przyjęte zostało z taką obojętnością, wstrętem prawie.

— Byłem pewniuteńki, że drugą klacz dostanę co najmniej--ale z panami tak zawsze... nikt ich nie zrozumie. Poświęcaj się dla nich i służ gorliwie, to ci się potem tyłem odwróca.— Kat ich tam wie, co myśla!

Machnął ręką zrozpaczony i poszedł na wódkę. Zły humor jednak przez cały dzień dał czuć wszystkim podwładnym.

Upłynął tydzień. ekonom jeździł parę razy do miasteczka. Mijając Orygowce, stanął pogadać z Fajwlem. Tu dowiedział się, prawie mimowolnie, że pan Daniel wyjechał z domu, jak się zdawało, do Warszawy i że dwór mimo złej pory na gwałt odnawiają, malują, obijają, czyszczą, jak gdyby się tam więcej kogo niż gospodarza spodziewano. Meble i sprzęt różny co chwila miały nadejść z Warszawy.

— Stary ślepy czy co? zawołał do siebie Szajkowski.

Piekła go ta wiadomość, wytrzymać z nią nie mógł.

— Kobyły mi nie da—mniejsza z tem, to choć krwi staremu napsuję—rzekł w duchu powracając do domu. Trzeba mu to jakoś mądrze powiedzieć.

Wieczorem przypadała zwykle dyspozycja i sprawozdanie, z którem Szajkowski mało nie codzień przychodził do prezesa.

Stary miał zwyczaj z rękami założonemi drepząc po pokoju, pół godzinki spędzać na gawędce z ekonomem. którego. gdy był w dobrym usposobieniu, kieliszkiem wódki i zakąską odprawiał.

Tym razem zręczniejszy pan Szajkowski nie wystąpił od razu z doniesieniem; począł od różnych wiadomości gospodarskich mniejszej wagi.

— Proszę jaśnie pana — dodał odchrząkując po zdaniu sprawy — co się tyczy średniej pszenicy i tej, co troszeczkę porosła, której w Uściługu nie przyjmą, tęby nabył Fajwel z Orygowiec. Właśnie przejeżdżając o tem z nim mówiłem. Dostawa pod bokiem, furmanki na dobry ład i trzy razy powrócą.

— Niech sobie Fajwel sam zabiera, to najlepiej — dodał prezes — spuści mu się coś na korcu.

— A kiedyby to tam bodaj o fury teraz w Orygowcach trudno — rzekł Szajkowski. Wielka jakaś robota koło dworu, choć nie pora. Jeszcze do miasteczka nieustannie. słyszę, po coś posyłają, tak że się tam fury nie doprosić. I gdyby choć sam dziedzic był, toby Fajwel mógł się z nim ułożyć, a ten słyszę wyjechał do Warszawy czy coś i nie ma go w domu. Nie ma go — powtórzył dobitnie i z naciskiem — nie wiadomo, kiedy powróci nawet.

To mówiąc spoglądał na prezesa, który chodzić po pokoju nie okazując wcale, aby go ta wiadomość w najmniejszej rzeczy obchodzić miała.

Szajkowski milczał i on się nie odzywał. sądził, że go o coś spyta. Czekał — nie odezwał się prezes aż nie rychło i obojętnie.

— To nie sprzedam Fajwłowi średniej pszenicy, rzekł — na tę kupiec się i później znajdzie łatwo... Jak sobie chce, furmanek i tak dosyć potrzeba...

— Gdyby w Orygowcach... począł Szajkowski...

— Daj mi asindziej pokój już z temi Orygowcami... nie ma o czem mówić — dorzucił stary. — Dosyć — dość.

Odszedł tedy Szajkowski zmyty powtórnie i niepowodzeniem znękany. Zaczynał się nawet po trosze

domyslać, iż wiatr musiał zawiać z innej strony i że przeciwko niemu chcieć iść byłoby niebezpiecznie. Ze zwrotem jednak postanowił czekać, ażby chorągiewka porę mu ukazała.

Tymczasem zwracał pilną uwagę na pana prezesa, który oprócz pewnej niecierpliwości o pocztę i listy innego nie okazywał symptomatu niepokoju i obawy. Zwykle poczta nie przynosząca do Murawca nic tak bardzo zajmującego bywała zaniedbywana, leżała niekiedy pół dnia nietknięta w kredensie, nim ją do pokoju przyniesiono. Teraz musiano ją podawać natychmiast, stary dzwonił i dowiadywał się, czy fornal z miasteczka nie powrócił i Szajkowski, pilny w dogodzeniu wszelkim pańskim fantazyom, urządził zaraz stosunek z miasteczkiem w jak najpraktyczniejszy sposób a dla lepszego wyrozumienia, co teraz pana obchodzi najwięcej mogło, niekiedy pocztę samą śpiesznie odnosił. Wpatrywał się naówczas bacznie, czy pan na gazety wprzód, czy na listy zwraca uwagę i mógł się przekonać, że prezes chciwie korespondencyi wyszukuje...

Kręcił tedy głową i myślał, że coś się święci — ale co?—tego odgadnąć nie umiał. O dobroczynnej roli, jaką mimowoli odegrał, wcale nie miał pojęcia, a że mu loszę zdechło, znajdował poświęcenie swe złe wynagrodzonem i—wzdychał.

Tak czas upływał w Murawcu, bez widocznej zmiany; gdy jednego rana Szajkowski, znajdujący się na polu przy zwożącej się właśnie ostatniej stercie pszenicy, ujrzał dwa powozy zmierzające wprost do dworu.

Jeden z nich łatwo mu poznać było jako należący do cioci Benigny, drugi niepospolicie go zaintrygował, bo był bardzo piękny, formą nową i konie w nim zdawały się chyba orygowieckie.

Zaciekawiony ekonom ścisnął konia i na przełaj pokłusował ku gościńcowi, tak się obrachowując, ażeby powozy napotkać... Jechały dosyć wolno, klacz miała kłus dobry, stało się więc po jego woli i nad rów u grobli przybył w chwili, gdy karetą pani Benigny przechodzić właśnie miała. Siedziały w niej obie ciotki i służąca...

W tejże chwili prawie nadbiegł i drugi powóz a w nim z podziwieniem, do którego przestrach się mieszał, poznał Szajkowski po prawej ręce siedzącą pannę Leokadyą a po lewej pana Daniela. Oko w oko zetknięwszy się ze swoją panną, — sam na sam w tak podeptanym towarzystwie, osłupiał Szajkowski, zdjął prędko czapkę i, nie myśląc wiele, przez pola, (co mu o połowę drogę skracało) potem po zamarzłym stawie pobiegł do dworu... tu konia rzucił, ledwie cugle na kołek zaplątawszy, a sam pospieszył do prezesa...

Wbiegł tak zdyszany i czerwony, iż stary, który siedział na rozmowie z O. Serafinem, przeląkł się go.

— Co acanu jest?

Pora tych odwiedzin była niezwykła i sama już nadzwyczajność jakąś zdradzała.

— Jasnie panie! zawołał Szajkowski—e.. e... panie jadą... są na grobli...

— Jakie panie...

— W karecie siostry jasnie pana... a w drugiej...

Tu mu zabrakło wyrażu...

— Chyba mi się przewidziało, dodał — dalipan — panna Leokadya z panem Danielem...

— Co mi prawisz! ofuknął tupiąc nogą stary... ale idźże mi z tem! co znowu! sfiksowałeś...

— Jak pana szanuję...

Prezes dał mu tylko ręką znak, aby sobie odszedł, Szajkowski ramionami ruszył... i wysunął się.

A tuż i klaskanie z bata słyszeć się dało. — Prezes stał w miejscu jak wmurowany, ręce mu drżały tak, że je zwolna spuściwszy o stół musiał oprzeć.

Po wargach przebiegało także konwulsyjnie jakby drganie i oczy zapłynęły krwią. Ukradkiem spoglądał na drzwi, to na milczącego księdza. Milczenie było długie... oczekiwanie wydało się wiekuistem.

Naostatek szelest sukni kobiecych dał się słyszeć.

Pierwsza w progu ukazała się ciotka Benigna, za rękę prowadząc bladą i przełękłą Leokadyą... Za nią szedł nie mniej pomieszany Daniel Tremmer...

Prezes spojrzał na nich i cofać się zaczął.

— Co to jest? — zawołał — co to jest?

— Bracie — odparła Benigna — córka twoja i jej mąż...

Winowajczynią, która to małżeństwo przeciwko twej woli związała — jestem ja! Wylej gniew twój cały na mnie, jestem dość przygotowaną. lecz oszczędź Leokadyę, która wycierpiała wiele — przebac panu Danielowi... Gdybym nie znała twojego serca i przywiązania do dziecięcia lepiej, niż ty je

znasz sam, nie ośmieliłabym się tak postąpić.— Tys dobrym ojcem... przebacz.

Prezes oczy sobie zakrył...

Leokadya i zięć klęczeli przed nim... cofnęła się.

— Więc się spełniło—rzekł nie śmiało—czemu się przeciwielem—z wyraźnem pogwałceniem woli mojej! Tak — ja to już stary niedołęga nie znaczyłem nic i nie znaczę... alem winien sam...

A co się stało—odstać się nie może, dodał...

Schylił się ku córce i Tremmerowi, nie okazując gniewu, znać tylko było wzruszenie silne...

— Czegoż odemnie chcecie... dodał—nie odepchnę dziecka... Bóg z wami, Bóg z wami! Szczęście, że mi pan Daniel osobiście miłym był zawsze, ale, com mówił, i powtarzam... Mojej woli w tem nie było — jam się nie godził... zadaliście mi gwałt.

Stary poplątał się już nawet mówiąc, bo i przy swoim chciał się niby utrzymać i bardzo ostrym ukazać nie zyczył...

Przerwał mu pan Daniel chwytając jego rękę...

— Panie prezesie... ojczy — rzekł — znajdziesz we mnie serce wierne i poświęcenie bez granic i wdzięczność dozgonną... przebacz...

— Przebacz! wołała córka i ciotki i O. Serafin, stając wieńcem około niego...

Prezes ręce spuścił na głowy nowożeńców i nie odpowiedział nic — płakał. Tak się to jakoś szczęśliwiej, niż spodziewać śmiano, skończyło.

Całowano w ręce prezesa a ciocia Bénigna rzuciła mu się na szyję... Przez drzwi na w pół

otwarte ciekawa służba dworu trwożliwie zrazu przypatrywała się tej scenie, a potem szybko rozpierzchła się po domu wieść roznosząc, iż wszystko się skończyło i stary pan już się nie gniewa.

Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że prezes, złamany w ten sposób i zmuszony przyjąć fakt spełniony, już go zupełnie uniewinnił i przeszłości zapomniał. Dla córki najczulszy, do zięcia mając tę słabość, jaką mu dawniej okazywał, i nie mogąc się obejść bez niego, kochając go cześciście, nigdy jednak Tremmerowej nie nazywał po nazwisku, znał ją tylko pod dawnem imieniem... Zięcia bardzo często przy obcych nazywał łykiem lub lutrem i narzekał w godzinach złego humoru tak teraz jak przedtem na niestósowny związek córki.

Zaraz w kilka dni potem, gdy mu podkomorzy przyjechał winszować i zięcia chwalić, uczuł się w obowiązku—szepnął mu...

— Dałbyś asindziej pokój—człek najpocziwszy to prawda, kocham go i szacuję, ale że łyk to łyk... skartabelat mosanie i luter w dodatku... a jejmości nazwiska dotąd połknąć nie mogę.

A cóż z babą zrobić, gdy się uprze? Czy który, z nas pochwalił się kiedy zwycięstwem? Nie gadajmy o tem, nie gadajmy. Byle, bybyli szczęśliwi...

Nawykli już tak wszyscy do tego, że później na dziwactwo prezesa nikt nawet nie zważał; uśmiechano się z niego, a gdy się wygadał i nałajał, przyjmował potem Tremmera serdecznym uściskiem i puścić go od siebie nie chciał.

— Żeby nie był mieszczanin i luter, mówił do Ojca Serafina, nie byłoby na świecie człowieka nad niego... ale tych grzechów żadna woda lustralna nie obmyje...

W sąsiedztwie wiadomość zrazu przyjętą była z podziwieniem i ciekawością wielką. Każdy sobie tłumaczył ten koniec romansu, o którym dotąd krążyły domysły tylko, na swój sposób. Powszechnie jednak przyznawano pani Pstrokońskiej całą zasługę zawarcia tego małżeństwa, które się wprzód niepodobnem zdawało. — Prezes zbywał zapytania, machając ręką i mówiąc:

— Nic o tem nie wiem... babskie sprawy...

Pan Daniel wszedł teraz przez ożenienie w koła obywatelskie, wśród którego znalazł mnóstwo zazdrośnych i niechętnych z powodu, że się wielu z nich na próżno starało o rękę panny Leokadyi. Lecz był to człowiek z taktem wielkim i zimną krwią — umiał przetrwać twarde początki i zaskarbić sobie szacunek a nawet przyjaźń sąsiadów. — Wiele się też do tego przyczyniła okoliczność ta, że Murawiec. Orygowce i Borcki, które ciotka teraz głośno przyobiecowała, stanowiły pańską fortunę, a panowie mają ten przywilej, że się zawsze pięknie wydają, nawet w oczach tych co im zazdroszczą.

Dla Małejki ta sprawa orygowiecka, była pierwszym szczeblem do krescytywy, pan Zdenowicz

i wszyscy wyżsi urzędnicy przyznali mu nareszcie tę przebiegłość i spryt, o których sławę tak długo na-próżno się dobijał. — Sam pan Daniel zgodził się na to, iż niezgrabnie ułożył tę komedią całą w nadziei, iż jakiegokolwiek pozory wystarczą i sąd nie będzie bardzo wnikał w głąb rzeczy. Małejko pierwszy „świdrując”, jak powiedział Zdenowicz, wyświdrował z rozmaitych danych, że morderstwa żadnego nie było i całą sprawa wydawała się tylko tragiczną, a była skleconą po-spieszenie na zamydlenie oczów...

Zaraz po powrocie p. Daniela, gdy Zdenowicz z obowiązku zjechać musiał na śledztwo i porwał nieboszczyka do tłumaczenia się, Małejko wzrósł niezmiernie w oczach wszystkich i własnych, bo jego domysły i uparte zaprzeczania zbrodni teraz się nagle usprawiedliwiły — nikt tylko nie ocenił go naowczas z innej strony, z poczciwego, litościwego serca, jakiego dał dowód w Borkach, wyrzekając się nawet przekonania o ał ocalenia biednej Leokadyi. Ten piękny czyn później się dopiero wyświecił i starano się Małejce okazać zań wdzięczność. On sam wszakże, gdy już wszelkie niebezpieczeństwo przeszło, lubił się chlubić więcej przenikliwością swoją niż sercem, a na ory-gowieckiej sprawie jeździł pono do śmierci, szcząc się nią jak najwალniejszem zwycięstwem.

Wkrótce też, gdy pan Zdenowicz, ożeniwszy się z wdową po Łysogórskim, osiadł na gospodarstwie. Małejko miejsce jego zastąpił i rósł potem w zaszczyty, nie straciwszy przy nich serca, które rzadko kiedy na wyżynach nie wysycha. Wyjątkowy też to był człowiek ze wszech miar, nie tylko jako inkwirent,

ale jako urzędnik nieposzlakowany. Zwano go białym krukiem. Ile razy mu Orygowce wspomniano, rósł i twarz mu się rozjaśniała. — A co się ze mnie naówczas naśmiewali! mówił — co pan Zdenowicz nałajał mnie za przesadne domysły. Ja drugiego dnia już byłem pewny, że tam coś innego zaszło, a nie kryminał. tylko odgadnąć zrazu celu było trudno. Już to choć panu Danielowi nikt rozumu nie odmówi, na ten raz niech mi daruje a mógł to inaczej urządzić, żeby policyantów nawet nosy nic się nie dowąchały! Niechajby mnie był lepiej spytał o to...

I śmiał się i ręce zacierał Małejko.

— Rękawiczkę zgubił na drodze! albo to nie był znak najlepszy, że tu czegoś jeszcze innego szukać należało. A kto pierwszy domyślił się, że pan Franciszek miał udział w spisku?

Gdy w kilka lat później daleko zawikłańszą sprawę o otrucie rozwikłać potrzeba było, już miał Małejko tak ustaloną sławę bystrego śledczego urzędnika, iż go delegowano aż do Owručza, a choć nie był z miejscowością obeznany, póty tam siedział, aż prawdę na jaw wyprowadził.

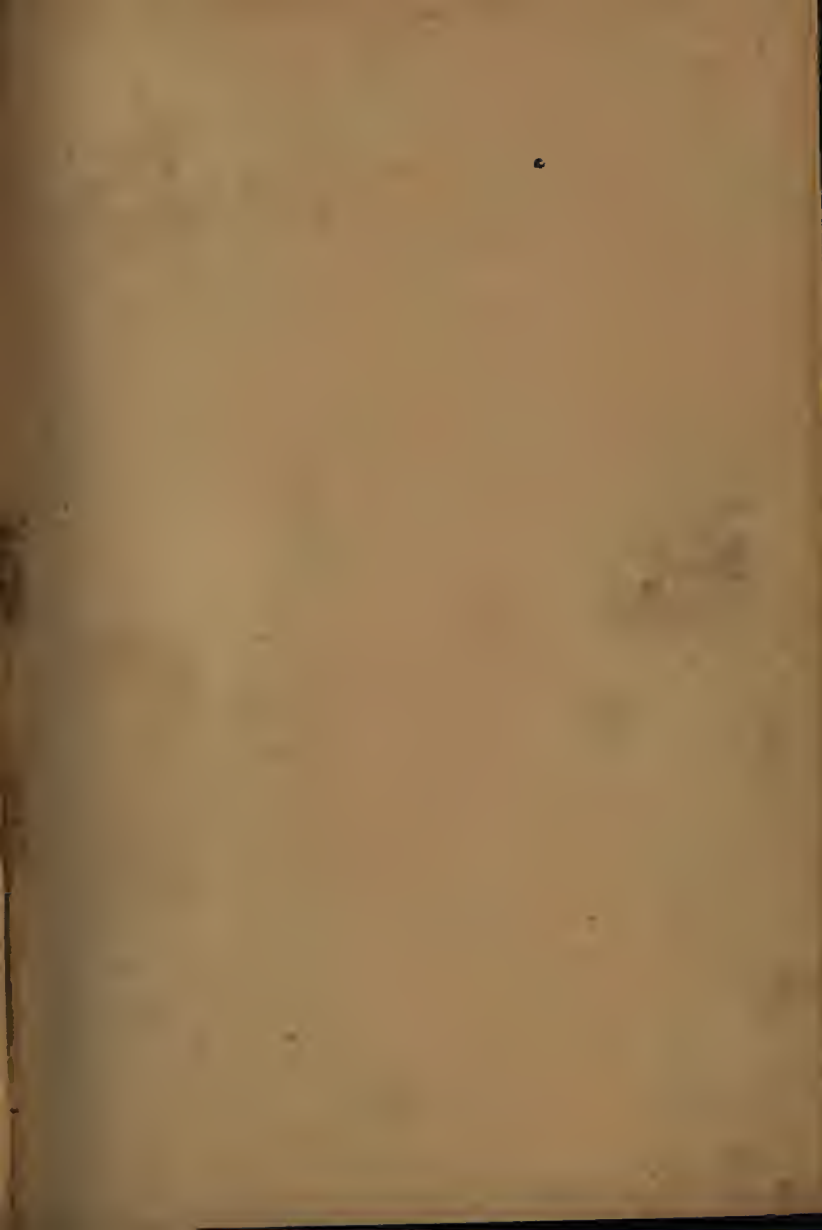
Ile razy się z panem Danielem spotkali. Małejko go ścisnął z czułością wielką, był mu wdzięczny.

— Dalipan — mówił — panu winienem, że koleżskim rejestratorem na całe życie nie zostałem!! Gdybyś pan trochę lepiej poplątał był — zagmatwał, niechym nie doszedł i do dziś dniaby mnie mieli za dudka. Na sprawie orygowieckiej ja pono najlepiej wyszedłem — a że cna i panu przyspieszyła szczęśliwe rozwiązanie, — to także niewątpliwa... Żyćcież państwo sto lat!...

Jeden ten wieczór zostawił w całej okolicy dosyć wspomnień wszystkim. Słońska opowiadała do śmierci pierwsze spotkanie w ganku z powracającym panem Danielem. Ciągnęła kabałę na starość w pokoiku osobnym, gdzie, odpoczywając na stare lata, nie prócz niej do czynienia nie miała.

K O N I E C.





Pierwsza seria
BIBLIOTEKI NARODOWEJ

obejmuje:

- Janowskiego TRENY, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
Niemcewiczego ODPRAWA POSŁÓW, w oprac. *T. Sinki* (Nr. 3)
Niemcewiczego POWROT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
Lenartowicza WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 6)
Słowackiego ANHELLI, w opracow. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
Towiańskiego WYBOR PISM, w oprac. prof. *Stan. Pigonia* (Nr. 8)
Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁOWNA, w opracowaniu prof. *Martjana Szyjtkowskiego* (Nr. 9)
Brodzińskiego O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
Mickiewicza DZIADY WILENSKIE, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w opracowaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
Słowackiego BENIOWSKI, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
Kopernika WYBOR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *Michała Janika* (Nr. 16)
Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia* (Nr. 17)
Kraśińskiego PRZEDSWIT, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 18)
Potockiego WIERSZE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
Mickiewicza DZIADY, CZĘŚĆ III., w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
Pola PIESN O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawilińskiego* (Nr. 21)
Fredry SLUBY PANIENSKIE, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 22)
Czartoryskiej MALWINA, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 23)
Kraśińskiego NIEBOSKA KOMEDJA, w opr. prof. *J. Kleinera* (Nr. 24)
Korzeniowskiego SPEKULANT, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 25)
Polska PIESN LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
Mickiewicza TRYBUNA LUDOW, w oprac. red. *E. Haeckera* (Nr. 27)
Korzeniowskiego KOLLOKACJA, w op. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 28)
Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w oprac. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
Zaleskiego WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 30)
Długosza BITWA GRUNWALDZKA, w opr. *J. Dąbrowskiego* (Nr. 31)
Fredry ZEMSTA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
Pola PIESNI JANUSZA, w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 33)
Brodzińskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
Konarskiego WYBOR PISM POLITYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Władysława Konopczyńskiego* (Nr. 35)
Fredry PAN JOWIALSKI, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 36)
Ujejskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
Błazińskiego PAN DAMAZY, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)
Romanowskiego DZIEWCZE Z SĄCZA, w opr. *Dr. St. Lama* (Nr. 39)
Reja WYBOR PISM, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
Krasickiego DOSWIADCZYNSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)

Biblioteka Raczyńskich

JK 614



JK0614